Nr 2 (311) 9. I. 1955 r. Cena 35 gr

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Wyższa Szkoła Ekonomiczna - Biblioteka Główna

DZIŚ w numerze

„Światopogląd a nauka"

Głos zabierają:

- członek koresp. PAN prof. dr Pieniążek
- prof. dr M. H. Serejski

str. 6

Przeciw remilitaryzacji Niemiec

W dniu 3 b. m. w warszawskiej hali „Gwardii" odbył się wielki wiec protestacyjny młodzieży stolicy przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich i ratyfikacji układów paryskich. W wiecu wzięli również udział przedstawiciele młodzieży Czechosłowacji, NRD i Niemiec zachodnich.

Na zdjęciu: od lewej Eberhard Franke — Sekretarz Centralnej Rady FDJ, Eleonora Syzdek studentka UW, Vladimir Vreda — członek Prezydium Komitetu Centralnego CSM.

Przedstawiciele młodzieży niemieckiej przekazali nam następujące pozdrowienia:

„My, przedstawiciele całej młodzieży niemieckiej, życzymy naszym przyjaciołom, polskim studentom, wielu sukcesów w nauce, aby swe twórcze siły poświęcili dla zwycięskiej budowy socjalizmu i utrzymania światowego pokoju".

Eberhard Franke
W. Heinrich

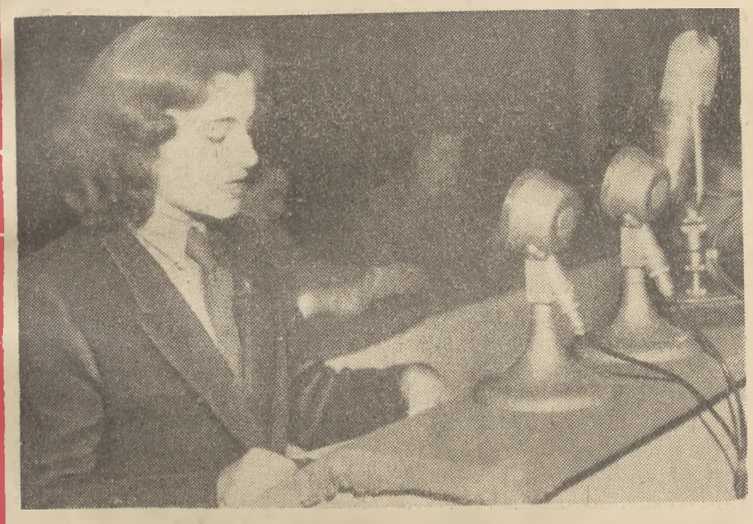

A oto fragment przemówienia Eleonory Syzdek wygłoszonego na wiecu w imieniu warszawskich studentów.

„Wobec dążeń rządów imperialistycznych do wskrzeszenia militaryzmu niemieckiego, uzbrojenia zbrodniarzy hitlerowskich w straszną broń masowej zagłady — bombę atomową i wodorową, młodzież polska, Czechosłowacji, NRD, Francji i Niemiec zachodnich, młodzież całego świata łączy swe wysiłki w szlachetnym dążeniu obrony i utrwalenia pokoju...

Wierzymy głęboko w zwycięstwo naszej słusznej sprawy. Wzywamy was słowami wielkiego naszego wieszcza Adama Mickiewicza:

Razem młodzi przyjaciele
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele

ELIGIUSZ LASOTA

Głos w dyskusji nad projektem statutu ZMP

Na marginesie pewnej narady

Przed kilkoma dniami w Zarządzie Głównym ZMP odbyła się narada przewodniczących zarządów uczelnianych i aktywu studenckiego naszej organizacji. Narada poświęcona była sprawom rozwijania dyskusji przedzjazdowej wśród studentów w oparciu o projekt nowego statutu ZMP. Dość precyzyjnie i szczegółowo określono na niej zadania stojące przed nami w okresie przedzjazdowym.

Jednakże, moim zdaniem, w wypowiedziach niektórych towarzyszy z terenu zabrzmiały pewne niewłaściwe nutki, będące odbiciem starego, złego stylu pracy naszego studenckiego aktywu. Ponieważ niewyjaśnienie sobie tych spraw do końca może w sposób szkodliwy odbić się na dyskusji przeprowadzanej obecnie w uczelniach, chciałbym kilka uwag poświęcić pewnym sformułowaniom, które padły na naradzie.

Zaniepokoiło mnie, że szczególnie w pierwszej części dyskusji wielu zabierających głos — mówiąc o pracy organizacji i o tym jakim echem odbiło się w terenie ogłoszenie projektu nowego statutu — zajmowało się tym jedynie od strony aktywu, gubiąc przez to spojrzenie na całą organizację, którą przecież w podstawowej masie stanowią członkowie nie posiadający określonych funkcji zetempowskich.

Jednym chyba z najbardziej charakterystycznych wystąpień tego rodzaju, w którym spojrzenie na całą organizację zawężało się przede wszystkim do jej aktywu, był głos towarzysza Wielkopolana z Wrocławia. Towarzysz Wielkopolan wśród wielu cennych i słusznych uwag, referując zdanie pewnych wrocławskich aktywistów, stwierdził, że „opublikowany projekt statutu zawiódł oczekiwania aktywu" ponieważ jest zbyt mało „rewolucyjny", to znaczy, że sformułowania powinny być mocniejsze, bardziej zobowiązujące członków. Przy czym dodał już od siebie, że w statucie powinny być jasno i mocno określone obowiązki członka ZMP, że nazwę instancji należy zmienić z zarządów na komitety itp. „bo to by podciągnęło aktyw", który „będzie przecież realizować ten nowy statut".

Referuję tu tylko wyrwane fragmenty wypowiedzi towarzysza Wielkopolana (zresztą jedynie przykładowo, podobne sformułowania powtarzały się i u innych) zupełnie celowo, gdyż z nimi chcę polemizować, ponieważ wydaje mi się, że są one wyrazem pewnych określonych ideologicznie treści.

Przede wszystkim sprawa zawężenia spojrzenia na organizację jedynie do jej aktywu, które występowało u wielu dyskutantów.

Jest to chyba choroba wielu naszych działaczy studenckich począwszy od towarzyszy z Zarządu Głównego ZMP. Bardzo często mówiąc o organizacji na terenie wyższych uczelni jesteśmy skłonni dostrzegać jedynie / jej najaktywniejszą część, tych, którzy najczęściej się wypowiadają, są najbardziej ruchliwi. Takich ludzi najłatwiej dostrzec, zapoznać się z ich opinią o każdej sprawie, zasięgnąć ich rady i pomocy. I to ostatnie byłoby bardzo słuszne, gdyby nie fakt, że zbyt często nasz kontakt ze studentami ogranicza się jedynie do aktywistów i przez to wypacza nam spojrzenie na to, co się rzeczywiście w podstawowej masie członkowskiej dzieje. Nazwa tej choroby — o d e r w a n i e o d m ł o d z i e ż y.

Można by zapytać — dlaczego jesteśmy oderwani od mas młodzieży studenckiej, mając przecież kontakt z tymi, którzy w organizacji są niejako jej przedstawicielami? Aktywiści to przecież tacy sami studenci jak inni, obdarzeni jedynie ich zaufaniem i dlatego wybrani przez zetempowców do władz organizacji, powołani do kierowania tą organizacją na wszystkich szczeblach.

I tu trzeba stwierdzić, że jesteśmy świadkami niepokojącego zjawiska oderwania się od mas studenckich p o d s t a w o w e j masy naszego aktywu zetempowskiego na wyższych uczelniach (zresztą im wyżej — tym gorzej).

Oderwanie się aktywu organizacji od podstawowych mas studenckich musiało nieuchronnie doprowadzić do poważnego zubożenia t r e ś c i pracy naszych organizacji. A wymyślone zza biurka tematy, referaty i zebrania muszą być nudne i ubogie nie dlatego, że nie jesteśmy w stanie od góry kierować pracą wychowawczą w organizacji, ale dlatego, że takie odgórne kierowanie nie poparte znajomością spraw, którymi żyje młodzież, problemów, które ją nurtują po prostu rozmija się z jej zainteresowaniami i trafia w próżnię. Tego rodzaju odgórne kierowanie rodzi nieuchronnie sztywną, urzędową w wielu wypadkach atmosferę w organizacji i przenoszenie się wszelkich dyskusji, polemik i koleżeńskich sporów poza ZMP, w małe prywatne kółka. Przysłowiowe są już przecież te dyskusje, które wybuchają żywiołowo po wyjściu z zebrania, na korytarzu, w drodze, w domu studenckim. Zagnieździła się na wielu uczelniach ponura atmosfera milczenia w organizacji i przerasta w barierę między „aktywem" a „członkami".

Taka atmosfera milczenia, niezrozumienia i podziału na aktywistów i biernych sprzyja powstawaniu u tych oderwanych od studentów aktywistów teoryjek o „reakcyjnych nastrojach wśród młodzieży", „że nie wszystkim członkom organizacji można wierzyć" i tym podobnych bzdur. A taka postawa musi wyrodzić się w zadufkowstwo, komenderowanie i poczucie swej wyższej wartości u wielu aktywistów oraz przeświadczenie, że zawsze wie się lepiej, niż tamta „szara masa".

I oto macie gotowego aktywistę, który w pogadance potrafi pięknie mówić o roli mas (w ogóle), a w praktyce z tą wolą mas absolutnie się nie liczy i członkowie organizacji potrzebni są mu jedynie po to, aby miał z kim pracować i kogo uświadamiać.

Jeśli dodamy jeszcze do tego, że ostatnio obserwujemy u wielu aktywistów studenckich ogromne spłycenie ich życia ideowego, naukowego, zawężenie horyzontów kulturalnych („bo ja nie mam czasu czytać, twórczo studiować, chodzić do kina czy teatru — cały wolny czas pochłania mi praca w organizacji") — ujrzymy młodych ludzi, szeroko szermujących wytartymi „rewolucyjnymi" hasłami, pozostających daleko w tyle poza swoimi rówieśnikami.

Nasza młodzież jest coraz bardziej świadoma, ma coraz szersze zainteresowania i potrzeby kulturalne, rozszerza się jej horyzont myślowy — a przede wszystkim ta młodzież myśli. I dlatego, że myśli, nie chce niczego przyjmować na wiarę, a priori. Stąd bierze się coraz więcej trudnych nieraz i skomplikowanych pytań wśród studentów, stąd wygłaszanie często (choć po cichu) niesłusznych, a nawet nierozsądnych pytań i stwierdzeń. A wielu naszych aktywistów, którzy „nie mają czasu" na takie dociekania, którzy nie przeżywają boleśnie burzenia jednej po drugiej podstaw światopoglądowych i starych zasad moralnych i przyjmują wiele rzeczy na wiarę — tę chęć dociekania, dyskutowania, to krytyczne spojrzenie na wiele spraw i zjawisk określa jako rozrabiactwo, reakcyjne wypowiedzi, podszepty wroga itp.

I z tej sytuacji wypływają właśnie takie sformułowania jak „nasze rozeznanie wśród młodzieży jest teraz lepsze", którego użył na wspomnianej naradzie towarzysz Kołodziejczyk z Akademii Medycznej w Poznaniu.

Powiecie, że znów czepiam się sformułowań. Ale przecież i tu nie o sformułowanie chodzi, a o treść, którą ono kryje. Kto mówi o tym „rozeznaniu" wśród młodzieży — stary działacz partyjny, profesor czy literat? Nie, to mówi dwudziestoletni chłopak, który obdarzony mianem aktywisty poczuł się już tak daleki od młodzieży, od własnych kolegów, przyjaciół z roku, czy grupy — że teraz nie może już być po prostu jednym z nich, a musi mieć „rozeznanie". Czy to znaczy, że z chwilą kiedy został aktywistą przestał być młodym, przestał być kolegą i przyjacielem, a stał się kimś, kto ma wychowywać pozostałych? Wydaje mi się, że specyfika wychowania w naszej organizacji polega właśnie na tym, że nie ma tu wychowywanych i wychowawców, że wychowujemy się wszyscy razem, wspólnie na siebie oddziałując, znajdując się w jednym przyjacielskim kolektywie. I kto o tym zapomina, kto siebie uważa za powołanego jedynie do wychowywania innych, odrywa się od mas, wyobcowuje z nich i potem, aby wiedzieć czym te masy żyją, czego pragną, musi mieć wśród nich rozeznanie.

Zgubiliśmy, towarzysze, w wielu organizacjach zetempowskich na uczelniach tę ogromną siłę, która pomaga nam żyć, pracować, stawać się coraz lepszymi — zgubiliśmy p r z y j a ź ń i zastąpiliśmy ją urzędowym stosunkiem zwierzchnika do podwładnych.

(Dokończenie na str. 3)

ALEKSANDER MINKOWSKI

W KRÓLESTWIE SCHEMATU i ETYKIETKI

Kolejka elektryczna na trasie Komorów — Warszawa wlokła się niemiłosiernie powoli i czasu do rozmowy było aż nadto. Omówiliśmy już kilka typów motocykli, którymi Rysiek bardzo się interesuje, skrytykowaliśmy nazbyt rozrośnięty program IV roku wydziału elektrycznego Politechniki Warszawskiej, którego Rysiek jest słuchaczem. Zaległa cisza z gatunku nieprzyjemnych.

— Co czytałeś ostatnio? — spytałem tylko po to, aby coś powiedzieć.

Wymienił tytuł jakiegoś podręcznika fachowego.

— Nie... nie o to mi chodzi. Z beletrystyki coś czytał?

Widziałem, że czuje się trochę zażenowany. Potem uśmiechnął się:

— Wiesz, nic nie czytałem. Nie ma czasu. Jak znajdę wolną chwilę to raczej sięgam do literatury technicznej. Chcę być dobrym inżynierem. A nudnych obowiązków i pustej agitacji, szczerze mówiąc, i tak mam dosyć...

Przyznam, że „zastrzelił" mnie tym ostatnim zdaniem. Nie zrozumiałem co chce przez to powiedzieć. Dopiero później, po głębszym przemyśleniu — pojąłem. I dlatego piszę ten artykuł.

*

Maturę zdawałem we Wrocławiu. Należałem już wtedy do Koła Młodych Literatów i literaturą interesowałem się poważnie. A teraz paradoks: lekcji literatury nie lubiłem, nudziłem się na nich. Zresztą to samo działo się z moimi kolegami.

Na początku roku nauczyciel podyktował nam wykaz lektur i źródeł, w których należy szukać krytycznej oceny tych książek. Było tego kilkanaście pozycji. Na tę i tę lekcję należało przeczytać taką a taką książkę. Umieć ją streścić i omówić.

Pamiętam, czytałem wtedy „Stare i Nowe" L. Rudnickiego. Czasu zostało niewiele i trzeba się było spieszyć. Z tego to powodu przerzucałem stronicę za stronicą — nie wgłębiając się w treść obowiązującej lektury. I chęci na to nie było — wiedziałem, że i tak muszę przeczytać recenzję i według niej odpowiadać. Pogoda była słoneczna, ciepła. Na dziedzińcu koledzy grali w siatkówkę. Chętnie bym tam poszedł, ale cóż — przede wszystkim obowiązek...

Nazajutrz była lekcja literatury. Przedtem streściłem Władkowi drugi tom, bo nie zdążył przeczytać, a na lekcji on go streścił nauczycielowi. Ktoś inny w krótkich i suchych słowach powtórzył treść recenzji: „Książka ta stanowi obraz walki proletariatu polskiego pod wodzą SDKPiL... Autor ukazuje przemiany ideologiczne człowieka... Pokazano walkę klasową w obliczu..." Bogdan z ostatniej ławki strzelił we mnie papierową kulką. Tadek Bielous szeptał coś na ucho Molikowskiej.

Nauczyciel przystąpił do omówienia książki. Zaczął od bohaterskich tradycji rewolucyjnych, a skończył na dzisiejszych osiągnięciach wyzwolonego ludu polskiego. Chciało mi się spać...

Po kilku latach znów przeczytałem „Stare i Nowe". Przyznam szczerze, że z niewielkim entuzjazmem zabrałem się do tej lektury i — byłem zaskoczony. Znalazłem w pamiętnikach Rudnickiego dużo rzeczy ciekawych, bardzo mi bliskich. Ale wiem na pewno, że Władek Starkiewicz (ten, któremu streściłem drugi tom) po tę książkę nie sięgnął i chyba nie sięgnie. Spytał mnie kiedyś, czy nie lepiej zamiast dwóch grubych tomów przeczytać cienką broszurkę Daniszewskiego o SDKPiL? Dowiaduje się człowiek więcej, a zachodu mniej.

I to wiem jeszcze, że Władek Starkiewicz w ogóle nie lubi czytać książek. Zawdzięcza to szkole, która wpoiła weń przeświadczenie, że czytanie to tylko obowiązek (daleko nie najprzyjemniejszy), że wgłębiać się w książkę nie warto, bo i tak recepta o niej jest już sporządzona a jego własne zdanie albo się pokryje z tą receptą albo będzie niesłuszne i oberwie dwóję — dosłownie i w przenośni. A poza tym Władek — tak jak i Rysiek — ma dość takiej agitacji.

*

Ten kto myśli że na uczelni sytuacja się zmienia, że podejście do książki i czytelnictwa przybiera inny, właściwy charakter — ten... Ale takich chyba nie ma wśród ludzi patrzących trzeźwo i krytycznie.

Byłem przed kilkoma miesiącami na dyskusji poświęconej „Żniwom" Nikołajewej i filmowi zrealizowanemu na podstawie tej powieści. Problem jest bardzo ciekawy — wyjęty z życia osobistego dwojga ludzi, intymny, każdemu z nas bliski.

Dyskusję zorganizował jeden z wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego. Spodziewałem się, że będzie żywa, interesująca. Sala była szczelnie wypełniona studentami. Dopiero później zauważyłem, że krążą między nimi lista obecności.

Sztywne zagajenie o pięknej pracy kołchoźników w Związku Radzieckim. Głos w dyskusji (pierwszy) stwierdzający bezapelacyjnie, że dobro społeczeństwa należy przedkładać nad szczęście osobiste. I długa cisza. Potem jeszcze kilka (ze dwie, trzy) wypowiedzi w podobnym „zasadniczym" tonie. Koniec dyskusji. Sztywne podsumowanie „z przeniesieniem na nasz teren". I wszyscy rozchodzą się.

(Dokończenie na str. 7)

Przygotowywać do konkretnego zawodu

Prof. DYZMA GAŁAJ
Wyższa Szkoła Rolnicza w Olsztynie

Po liście otwartym społeczeństwa olsztyńskiego w sprawie pracy absolwentów naszych uczelni coraz częściej stawiamy sobie pytanie: czy wyższe szkoły rolnicze mogą sprostać wymaganiom naszego społeczeństwa i potrzebom przeobrażającego się rolnictwa? Mamy przecież odpowiednią ilość szkół, zakładów, odpowiednie wyposażenie techniczne, biblioteki; mamy wartościową młodzież, której możemy ukazywać wspaniałe perspektywy przyszłej pracy. Skąd zatem obok wielu sukcesów jest w naszej pracy tyle usterek i braków, o których powiadamia nas praktyka naszych absolwentów?

Traktując niniejszy artykuł jako głos w dyskusji nad sprawą kształcenia kadr dla socjalistycznej gospodarki, pragnę pomówić o kilku brakach zauważonych w praktyce wyższych uczelni rolniczych. Chodzi mi przede wszystkim o sprawę tzw. „profilu" absolwenta.

Nie trzeba, sądzę, nikogo przekonywać, że jeżeli „profil" danego zawodu nie jest sprecyzowany, **jeśli nie powiemy sobie wyraźnie i konkretnie jaki ma być absolwent danego typu uczelni, to wartość zawodowa takich absolwentów nie będzie wynikiem celowego działania uczelni,** a zatem będzie i przypadkowa i bardzo różna. Nie można bowiem celowo działać, jeśli cel jest nieokreślony.

Tezę tę potwierdza wielu pracowników naukowych. Są jednak wśród nich i tacy, którzy (jak to miało miejsce na konferencji programowej w Zakopanem) powiadają, że na precyzowanie profilu absolwenta wydziału rolnego szkoda czasu „bo, chwalić Boga, wydział ten istnieje nie od dziś, więc od dawna mamy wzory kształcenia i wychowywania. Jest to natomiast uzasadnione na wydziałach nowych, np. — zootechnicznym, rybackim, przetwórstwa rolnego itd.".

Jest też pewna część pracowników naukowych, która zagadnieniem tym nie interesuje się w ogóle. Ich kontakty ze studentami są formalne i ograniczają się do ogłaszania prawd, zadawania pytań i egzekwowania odpowiedzi. Nie trzeba mówić, że praca tego typu ludzi nie da efektów, o jakich z uznaniem była mowa w liście otwartym społeczeństwa olsztyńskiego.

Zagadnienie profilu absolwenta nieraz już było przedmiotem dyskusji różnych zjazdów i konferencji, ale jak dotąd — wyniki tych dyskusji nie znalazły, moim zdaniem, konkretnego wyrazu w codziennych pracach wyższych szkół rolniczych.

Nie jest to łatwa i prosta sprawa. Ale właśnie dlatego wymaga ona praktycznego postawienia zarówno przed pracownikami naukowymi, jak i przed studentami, zwłaszcza przodującymi. Musi być ona rozwiązana w praktyce wykładowej i ćwiczeniowej katedr, w kontaktach szkoły z terenem, w wycieczkach, w pracach kół naukowych, na ZMP-owskich zebraniach, na konferencjach naukowych studentów, w osobistych kontaktach profesora i asystenta ze studentami itd.

Czy my dziś wiemy, dlaczego źle pracują niektórzy agronomowie rejonowi PQM, jakie są ich typowe trudności, błędy, radości, sukcesy w pełnieniu zawodu? **Czy wiemy, jakie trudności w skali masowej napotykają w swej praktyce absolwenci, którzy po raz pierwszy w życiu pełnią odpowiedzialne i konkretne funkcje agronomów - poszczególnych PGR, zespołów PGR — czy też Powiatowych Zarządów Rolnictwa?** Czy my w związku z tym wiemy, jakie powinien mieć walory nasz absolwent — konkretnie, jako młodszy, starszy; czy główny agronom PGR, rejonowy lub starszy agronom POM, agronom Powiatowego Zarządu Rolnictwa w województwie rzeszowskim, olsztyńskim czy poznańskim?

Stawiam te pytania gdyż jestem przekonany, że jeśli nawet nieliczne jednostki spośród pracowników naukowych WSR usiłują poznać wyniki swojej pracy nie poprzez egzamin, lecz poprzez praktyczną działalność absolwentów — to wypadki takie są wyjątkowe i najczęściej przypadkowe. Nie mogą one być zatem poważnym kryterium oceny działalności absolwenta, jak i pracy uczelni.

W rzeczywistości nie wiemy bowiem jak pracują nasi absolwenci, mało tego, nie wiemy jak powinni pracować, żeby było dobrze. Dowiadujemy się o tym z przypadkowych spotkań z tymi absolwentami, z jednostkowych opinii ich władz zwierzchnich, od studentów-praktykantów itd. **Nie mamy natomiast ustalonej, instytucjonalnej, szkolnej opinii o ich pracy,** o ich sukcesach, brakach; o tym, czy absolwenci w 1954 r. pracują lepiej czy gorzej od absolwentów z 1950 r.; o tym jakie cechy w pracach dydaktycznych i pedagogicznych należy rozwijać a jakie ograniczać. Jeśli zaś nie mamy takiego gruntownego, obiektywnego rozeznania dodatnich i ujemnych stron pracy naszych absolwentów (działających w konkretnym typie gospodarstwa i w konkretnym stadium socjalistycznej przebudowy wsi i walki klasowej), to „profil" naszego absolwenta musi być albo ogólnikowy, albo mętny i graniczący z czymś w rodzaju wizji proroczej.

Jak wyjść z tej trudności?

Sprawa pierwsza, to poznawanie konkretnych warunków pracy absolwentów, ich konkretnych sukcesów, trudności i braków, bodźców i hamulców działania, radości i smutków. Urabianie sobie poglądu o życiu tych ludzi na podstawie przygodnych rozmów, potocznych opinii czy notatek prasowych jest dalece niewystarczające. **Analizę pracy tych ludzi trzeba prowadzić permanentnie.**

(Dokończenie na str. 6 i 7)

LEKCJE BUCHENWALDU

TEOFIL WITEK

Wczasie spotkania b. bojowników europejskiego Ruchu Oporu, które miało miejsce z końcem listopada ub. roku w Wiedniu — oprócz zebrań plenarnych i wielu imprez artystycznych odbywały się też tzw. spotkania środowiskowe, jak np. parlamentarzystów, nauczycieli, lekarzy, literatów, artystów oraz b. więźniów poszczególnych obozów koncentracyjnych tzn. buchenwaldczyków, oświęcimiaków, b. więźniów Mauthausen, Sachsenhausen, Dachau itp.

Pragnąłbym podzielić się z czytelnikami POPROSTU wrażeniami z takiego jednego spotkania, a mianowicie buchenwaldczyków. Celem przedstawienia jego wyjątkowej wprost atmosfery, należy powiedzieć najpierw coś niecoś o tym niesamowitym hitlerowskim obozie koncentracyjnym jakim był Buchenwald. Był to bowiem obóz, który do dnia dzisiejszego świeci przykładem solidarności międzynarodowej więźniów, wykutej w nieubłaganej i konsekwentnej walce z SS-owskimi oprawcami.

Buchenwald należał do tych obozów, w których antyfaszystowski Ruch Oporu osiągnął tak imponujące rozmiary, że potrafił opanować i zorganizować ponad 50-tysięczną, a w okresie przypływu tzw. „Zugangów" nawet ponad 100-tysięczną masę więźniów i stworzyć pod czujnym okiem SS coś nie mającego chyba precedensu w historii: podziemne państewko więźniów z własną administracją, tajnym sądownictwem, szkolnictwem, bujnym życiem kulturalnym, siłą zbrojną, a nawet wywiadem.

Nasuwa się tu pytanie, jak było możliwe zorganizowanie czegoś podobnego wbrew woli SS?

Jak wiadomo, część administracji obozowej stanowił swoisty, narzucony przez SS samorząd więźniarski w postaci starszych obozu, blokowych i skrzydłowych w samym obozie, a oberkapów, kapów i forarbajterów na miejscach pracy.

Pierwszym etapem walki było opanowanie samorządu obozowego przez podziemną organizację. Okolicznością sprzyjającą w tej walce było istnienie w Buchenwaldzie pokaźnej kadry komunistów niemieckich, zahartowanych wieloletnim pobytem w obozach. Albert Kunz — wybitny działacz komunistyczny stracony w 1945 roku w Dorze, zorganizował z tej kadry dobrze zakonspirowaną, poddaną żelaznej dyscyplinie partyjną organizację. Na jej wzór powstały z czasem podobne organizacje wśród Rosjan, Czechów, Polaków, Francuzów, Belgów, Holendrów, Jugosłowian, Włochów itd. Przedstawiciele (sekretarze) narodowych komitetów partyjnych wyłonili z siebie kilkuosobową egzekutywę międzynarodową, która kierowała walką w obozie. Do organizacji partyjnych wciągano ludzi najbardziej zaufanych i politycznie uświadomionych, których przeszłość i dotychczasowa działalność były dokładnie sprawdzane. M. in. kontrolowano nawet znajdujące się w „Politische Abteilung" akta przez zatrudnionego tam towarzysza. W pierwszych dniach marca 1945 roku liczba członków Partii wszystkich narodowości osiągnęła imponującą cyfrę 8.230, w tym PPR — 243 członków zorganizowanych w 73 komórkach partyjnych.

Aby stworzyć zwarty front antyfaszystowski, Partia wypowiedziała nieubłaganą walkę wszystkim tym, którzy front ten osłabiali. Pierwszy cios skierowano w „przedłużone ramię SS" tj. przeciw szpiclom, prowokatorom, i tym społecznym elementom spośród więźniów, którzy przez bicie kolegów, okradanie ich z żywności lub inne czyny pomagali SS w masowym wyniszczaniu więźniów. Dlatego też najcięższą bitwę trzeba było stoczyć z kryminalistami, których w 1942 roku odsunięto całkowicie od wszelkich funkcji obozowych.

Z kolei Partia wypowiedziała walkę i odizolowała od masy więźniów lub zmusiła do milczenia te wszystkie reakcyjne i szowinistyczne elementy, które swoją postawą rozbijały lub osłabiały jednolity front międzynarodowy w walce przeciw SS.

Za przykładem sekcji polskiej przystąpiono wreszcie do organizowania antyfaszystowskiego frontu narodowego w ramach poszczególnych narodowości, wyzyskując przy tym instytucje obozowe.

Opierając się na szerokiej bazie tego frontu można było obsadzić uczciwymi antyfaszystami wszystkie ważniejsze pozycje w obozowym samorządzie. Dzięki takiej polityce antyfaszystowskiego Ruchu Oporu, Buchenwald, będący przecież w zasadzie miejscem zagłady, przerodził się w obóz, gdzie łatwiej było utrzymać się przy życiu niż w wielu innych obozach. Zorganizowano też szeroko rozgałęzioną samopomoc koleżeńską. I tak np. oprócz wyjątkowo sprawiedliwie rozdzielanych porcji żywnościowych, zdobywano dodatkową żywność z kuchni SS-mańskiej i zaopatrywano nią najbardziej potrzebujących. Podobnie przedstawiało się zaopatrywanie w papierosy i tytoń. Z nadsyłanych do obozu paczek żywnościowych tworzono tzw. zapasy solidarnościowe, którymi obdzielano głodujących lub ciężko pracujących więźniów.

Bardzo ważnym czynnikiem samopomocy obozowej było zaopatrywanie w odzież, której brak szczególnie dotkliwie dawał się we znaki więźniom zmuszonym bardzo często stać całymi godzinami na mrozie w czasie wieczornych apeli oraz opieka lekarska i tzw. „Schonung", czyli lekarskie zwalnianie od pracy lekko chorych więźniów. Z „Schonungu" korzystali nie tylko chorzy, ale także przemęczeni lub wyczerpani pracą więźniowie — ogółem około 2 tysiące osób dziennie.

We wszystkich akcjach samopomocowych Partia prowadziła zdecydowanie konsekwentną politykę klasową, nie mającą precedensu w innych obozach koncentracyjnych. Dzięki temu oblicze ideowe i moralne więźniów Buchenwaldu wyróżniało się spośród innych obozów. Cechowała je koleżeńska współpraca i żelazna dyscyplina oraz świadomość, że celem walki jest wyzwolenie człowieka z kajdan wszelkiej niewoli.

Niesłuszne jednak byłoby ograniczanie buchenwaldzkiego Ruchu Oporu do akcji samopomocowej. Głównym celem była bowiem walka ze znienawidzonym systemem faszystowskim. Formy jej, dostosowane do warunków obozowych, były najrozmaitsze. Wspomnieliśmy już o politycznej walce o oblicze ideowe obozu. Inną formą była bezpośrednia walka z SS i ich sługusami. Oto od połowy 1943 roku do Buchenwaldu przesyłano SS-manów za różne przewinienia dyscyplinarne na 6-tygodniowy pobyt karny. Większość z nich, w liczbie około 300, została przez więźniów zgładzona. Bardzo szeroko stosowaną formą walki był sabotaż w najrozmaitszych postaciach.

Ukoronowaniem wieloletniej pracy buchenwaldzkiego ruchu oporu było powstanie dn. 11 kwietnia 1945 roku, zakończone zwycięsko wyzwoleniem się obozu w chwili, gdy do Buchenwaldu zbliżały się oddziały pancerne amerykańskiej armii gen. Pattona. Międzynarodowa Federacja b. Więźniów Politycznych i Członków Ruchu Oporu (FIR), w uznaniu zasług buchenwaldzkich antyfaszystów w walce z hitlerowcami, ogłosiła 11 kwietnia dniem międzynarodowej solidarności wszystkich b. więźniów faszystowskich obozów koncentracyjnych i członków Ruchu Oporu.

Lata nieopisanych cierpień i heroicznej walki złączyły b. więźniów Buchenwaldu nierozerwalnymi więzami braterstwa i solidarności międzynarodowej w walce prowadzonej i dzisiaj przeciw pogrobowcom Hitlera i próbom remilitaryzacji Niemiec zachodnich.

Więźniowie, którzy przeżyli hitlerowski obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie, wyciągnęli z lat okrutnej niewoli właściwe wnioski polityczne. Bez względu na światopogląd i przynależność partyjną — przekonali się, że komuniści są najbardziej ofiarnymi i konsekwentnymi bojownikami w walce z faszyzmem, że owiani są — czego właśnie nieodpartym dowodem była ich praca i walka w obozie — najszczytniejszą ideą humanizmu, ideą walki o szczęście i wolność, postęp i pokój narodów. Więzieni w Buchenwaldzie Polacy, Rosjanie, Francuzi, Włosi, Czesi, Jugosławianie przekonali się również, że to właśnie niemieccy komuniści są najlepszą częścią narodu niemieckiego, że przejęli najpiękniejsze i najszlachetniejsze tradycje postępowe swego narodu i właśnie dlatego stali się pierwszymi ofiarami hitleryzmu. Oni to właśnie — niemieccy komuniści — w najcięższych chwilach obozowych śpiewali nam — Polakom — tak popularną w Niemczech w czasie „Wiosny Ludów" pieśń nadziei i wolności: „Es ist Polen nicht verloren" — „Jeszcze Polska nie zginęła".

Zrozumiałą jest też rzeczą, że po takiej obozowej szkole politycznej prawie wszyscy b. więźniowie Buchenwaldu stali się — bez względu na narodowość i światopogląd — najgorętszymi orędownikami pokoju i braterstwa między narodami. I właśnie to powoduje, że wszelkie międzynarodowe spotkania buchenwaldczyków nacechowane są atmosferą wyjątkowej serdeczności i głęboką troską, aby na przyszłość uchronić narody przed powtórzeniem się okropności, jakie oni sami przeżyli w czasie II wojny światowej.

Taka właśnie atmosfera panowała również w czasie ostatniego spotkania buchenwaldczyków w Wiedniu. Oto w pokrytym patyną czasu, a tak dla Wiednia charakterystycznym piwnicznym lokalu restauracji Künstlerhaus, zebrała się kilkudziesięcioosobowa grupa b. więźniów z Austrii, Niemiec wschodnich i zachodnich, Francji, Polski, Włoch, Belgii, Holandii, Luksemburga itd. Serdecznym powitaniom, uściskom, braterskim pocałunkom nie było końca. Na czoło wszystkich poruszanych spraw wysuwała się jedna wielka wspólna troska: ponowne niebezpieczeństwo faszyzacji i remilitaryzacji Niemiec.

Proboszcz z Berlina, nazwiskiem Gruber, opowiadał, jak to kiedyś w obozie pewien zagraniczny kolega oświadczył mu, że Niemcom po wojnie nie powinno się nawet widełdawać do rąk, gdyż znowu użyją ich do mordowania ludzi.

— Dziś doszło do tego — mówił Gruber — że właśnie tym najgorszym spośród niemieckiego narodu, sprawcom śmierci 27 milionów ludzi w Europie, pragnie się znowu dać do rąk nie widły, a broń amerykańską. Jeśli temu nie przeszkodzi się, nadejdzie znowu czas hańby dla Niemiec.

Przewodniczący Międzynarodowego Komitetu b. Więźniów Buchenwaldu, Marcel Paul, b. minister produkcji i członek KC KPF przypomniał o ślubowaniu, jakie natychmiast po wyzwoleniu złożyli więźniowie: „Przysięgamy, że tak długo nie zaprzestaniemy walki, dopóki ostatni morderca nie stanie przed sądem narodów. Przysięgamy wykarczować hitleryzm z jego korzeniami. Będziemy walczyć o nowy świat pokoju i wolności". 51 tysięcy zamordowanych w Buchenwaldzie kolegów zobowiązuje nas do jedności w walce przeciw ponownemu uzbrajaniu SS-owskich oprawców.

Albert Forcinal, b. minister i deputowany do francuskiego Zgromadzenia Narodowego z ramienia radykalnych socjalistów oświadczył, że pamięć pomordowanych kolegów nakazuje mu głosować w parlamencie przeciw układom paryskim. Socjalista francuski senator Debu-Bridel dodał, że nie zapomni o ślubowaniu złożonym w Buchenwaldzie, kiedy w Radzie Republiki będzie głosował w sprawie remilitaryzacji Niemiec zachodnich. „Nie chodzi o to — zakończył — aby jedną formę remilitaryzacji zastąpić inną formą remilitaryzacji; powinniśmy walczyć przeciwko wszelkim formom remilitaryzacji".

Pomiędzy ludźmi, którzy przeszli piekło hitlerowskich obozów koncentracyjnych i na własnej skórze uczyli się socjologii zbrodni imperializmu, nie może być różnicy w ocenie niebezpieczeństwa, jakie kryje się w próbach ponownego wskrzeszenia odwetowego Wehrmachtu, dowodzonego przez generałów hitlerowskich. I czy to będzie Rudi Jahn, komunistyczny deputowany do Izby Ludowej NRD, czy dr Wilhelm Steiner, wybitny austriacki działacz katolicki, czy pułkownik F. H. Manhes, francuski bohater narodowy — wszyscy oni pamiętają o ostrzeżeniu, jakie znad grobu przesłał światu Juliusz Fuczik, wielki pisarz czeski i więzień hitleryzmu: „Ludzie, kochałem was. Bądźcie czujni!". To właśnie ostatnie zawołanie Fuczika widniało nad zorganizowaną w Wiedniu wystawą, pokazującą zbrodnie hitleryzmu.

Czujność, jaką przejawiają narody Europy, czego m. in. dowodem było również spotkanie wiedeńskie, napawa nas otuchą, że plany pogrobowców Hitlera będą pokrzyżowane, a pokój — zostanie uratowany.

Nadzieja Pokoju

Odwieczna tradycja przekazała podania o człowieku paktującym z diabłem. Do nich przynależy unieśmiertelniona przez Goethego epopea doktora Fausta, do nich odnosi się staropolska legenda o czarnoksiężniku Twardowskim. Najnowsze dzieje dorzuciły pewne analogie: podpis premiera francuskiego pod układami paryskimi przypomina signum serdecznego palca na byczej skórze. Cyrograf ten zaprzedać ma Francję tym samym złoczyńcom z satanicznym znakiem trupiej czaszki na czapkach, którzy bezcześcili świętości Luwru, rozstrzeliwali na Polach Elizejskich patriotów z maquis i spalili Oradour-sur-Glane.

Przed pałacem Burbońskim paryscy policjanci w charakterystycznych pelerynkach ustawiali co kilka minut nowe drewniane bariery. Bariery odgrodziły Zgromadzenie Narodowe od narodu. Francji zadany został gwałt. W Paryżu popełnione zostało fałszerstwo podpisu. Podvis „Pierre Mendes-France" to nie podpis „France". Decyzja wymuszona w przeddzień nowego roku nie jest decyzją narodu francuskiego. Uczciwi Francuzi z decyzją tą nigdy się nie pogodzą. Świadomi swych obowiązków trwają w walce, wierni słowom Wiktora Hugo, wielkiego swego rodaka:

„Jesteśmy tu po to, by dokonać afirmacji postępu... by przyklasnąć szlachetnemu wysiłkowi ludów, przemysłowi, nauce, mężnemu pochodowi w przyszłość, pracy dla scementowania ludzkiej zgody, jednym słowem — aby chwalić pokój, tę podniosłą wolę powszechną. Pokój jest cnotą cywilizacji, wojna jej zbrodnią".

Aby tej zbrodni zapobiec — jednoczą ludzie swe głosy: Szalbierze usiłują nam wmówić, że „klamka zapadła", jednak alternatywa pokoju i wojny nie jest bynajmniej przesądzona. Debata nad tą alternatywą toczy się nie w Burbońskim pałacu, lecz na wszystkich kontynentach. I od wyniku tej właśnie debaty zawisły losy świata.

Kiedyś Wolter, wstrząśnięty wiadomością o trzęsieniu ziemi w Portugalii, napisał poemat „Na ruinę Lizbony". Poemat ten jest buntem przeciwko bezsile człowieka wobec ślepych kataklizmów losu. Wojny nie są jednak bynajmniej niezależnymi od człowieka katastrofami — i dlatego bunt przeciwko wojnie jest buntem twórczym, realnym i skutecznym. Sfabrykowany przez ludzi o brudnym sumieniu, a wyznawany przez ludzi małego ducha — mit o fatalizmie wojny dawno już został obalony, zbankrutował jak wiele podobnych doń mitów. Kto położył kres przelewowi krwi na półwyspie koreańskim? Kto powstrzymał brudną wojnę w dżungli Indochin? Kto sprawił, że nie ma dziś na kuli ziemskiej czynnego ogniska wojny? Nie fatum, nie palec opatrzności — lecz realna, zbiorowa, skonsolidowana siła: ruch na rzecz światowego pokoju. Decyduje człowiek, ludzie sami tworzą historię.

Prawdę tę pojmuje dziś nieporównanie więcej ludzi niż rok temu. Gdy zrozumienie jej stanie się powszechne — żaden człowek nie pozwoli opętać się siecią kłamstw i pokój zostanie przypieczętowany. Nie jest to utopijna mrzonka. Nawet za oceanem, w amerykańskim królestwie kłamstwa — bez porównania więcej ludzi niż w latach ubiegłych docenia wartość perspektywy pokojowego współistnienia państw o rozmaitych systemach społecznych, a termin „coexistention" stał się pojęciem niezmiernie popularnym. Pisał o tym Pierre Courtade w swych listach z Ameryki, potwierdzają to spostrzeżenie ludzie, którzy w ostatnich miesiącach zwiedzili USA. Prawda nie zna bowiem geograficznych granic, ani żelaznej kurtyny. Wcześniej czy później prawda dociera wszędzie.

Gorki pisał przed laty o tym, że kłamstwo jest jeszcze żywe lecz doskonali się już tylko prawda. Dziś słowa te trafnie określają kierunek rozwoju ludzkiej świadomości, który staje się coraz bardziej powszechny, ogarniając wszystkie stopnie długości i szerokości geograficznej. I dlatego nie chowając bynajmniej głowy w piasek wobec grożących wciąż jeszcze światu nieszczęść — żywimy głębokie przekonanie, że wojna nie jest nieunikniona, że wspólny zbiorowy wysiłek potrafi zagrodzić jej drogę, ocalić życie, cywilizację, szczęście. Z tą niezachwianą wiarą, nadzieją, ufnością — stanęliśmy u progu nowego roku.

J. S.

Zaraz po wyzwoleniu obozu przez samych więźniów buchenwaldczycy złożyli uroczystą przysięgę, że nie zaprzestaną nigdy walki przeciw faszyzmowi. W roku 1954, w obliczu prób odrodzenia militaryzmu niemieckiego, b. więźniowie Buchenwaldu przysięgę swą powtórzyli. Na zdjęciu: delegacje buchenwaldczyków wszystkich narodowości na placu apelowym obozu na chwilę przed powtórzeniem przysięgi.

Na marginesie pewnej narady

(Dokończenie ze str. 1)

Mówiła o tym na naradzie w swym bardzo bezpośrednim i świeżym wystąpieniu tow. Kowalska, studentka I roku AWF. Mówiła jak bardzo potrzeba jest przyjaźni młodym ludziom, jak bardzo razi ich szorstki i ostry stosunek niektórych aktywistów do szarych członków, jak o wiele za mało jest ciepła i prawdziwej ludzkiej przyjaźni w studenckich organizacjach zetempowskich.

Spróbujmy odpowiedzieć teraz dlaczego — jak stwierdził towarzysz Wielkopolan — „opublikowany projekt statutu zawiódł oczekiwania aktywu". Wydaje mi się, że najlepiej odpowie na to jedno zdanie z głębokiej i bardzo cennej wypowiedzi na naradzie towarzysza Prokopczuka z Warszawy — „niektórym aktywistom nowy statut się nie podoba, bo dotychczas byli oni panami sytuacji w organizacji, a teraz mają pytać się młodzieży o jej zdanie".

Wielu aktywistom najbardziej nie podobają się w projekcie statutu (mówiono o tym wielokrotnie na naradzie) sformułowania „powinien" i proponują zastąpić je sformułowaniami „członek ZMP jest zobowiązany" — począwszy od płacenia składek, a skończywszy na przynależności do jednej z organizacji zetempowskich. I zbyt łatwo szermują ci „teoretycy", opierając się przede wszystkim na tym, że § 1 nowego statutu różni się od słynnego sformułowania Lenina w odniesieniu do statutu partyjnego — zdaniem, że projekt „oparty jest na socjaldemokratycznych zasadach".

Otóż wydaje mi się, że ci, którzy w ten sposób krytykują projekt nowego statutu, nic nie zrozumieli ani z jego ducha, ani sformułowań. Przede wszystkim nasz statut nie jest statutem dla partii, a dla szerokiej, masowej o r g a n i z a c j i m ł o d z i e ż o w e j. Po drugie — określa on jasno i niedwuznacznie, że ZMP jest organizacją, która wychowuje młodzież, opierając się na najbardziej przodującej i przeobrażającej świat ideologii marksizmu - leninizmu. Po trzecie — nasz nowy statut jest pisany nie „na wyrost", na przyszłość, a dostosowany do konkretnej sytuacji w naszej organizacji zetempowskiej.

W nowym projekcie statutu zawarte są sprawy w tej chwili dla naszej organizacji najistotniejsze, stanowiące o jej dalszej pracy i oddziaływaniu na całą młodzież. Nowy statut ma nam pomóc pozbyć się dotychczasowych błędów i braków, ma nam pomóc na bazie aktywności każdego członka organizacji zwiększyć siłę oddziaływania na całą młodzież, uczynić naszą pracę bardziej pełną treści, radości i swobody.

Cóż z tego, że napiszemy w statucie „każdy członek obowiązany jest płacić składkę członkowską", jeśli jego koło nie pracuje i nie ma kto tych składek zbierać. A przecież, aby być zgodnym ze statutem należałoby wtedy skreślić z listy członków tych, którzy składek nie płacą. A my nie chcemy skreślać — my chcemy uaktywniać martwe koła, wlewać żywą treść tam gdzie jej nie ma, my chcemy przede wszystkim prowadzić pracę w y c h o w a w c z ą. Prowadzić tę pracę musimy w oparciu o to, że ludzie chcą do nas przychodzić, że dobrze jest im w organizacji zetempowskiej, że tu znajdują ujście dla swych bogatych zainteresowań — a nie dlatego, że zobowiązali się — podpisując deklarację członkowską. Żadne zobowiązywanie nie zapełni nam ziejących nudą i pustką zebrań zetempowskich, których mamy jeszcze niemało, żadne zobowiązywanie nie pomoże, jeśli członek ZMP nie będzie zainteresowany w pracy swego koła — a może jedynie doprowadzić do tego, że statut będzie martwym dokumentem nie odpowiadającym sytuacji i stanowi rzeczy w ZMP.

W projekcie nowego statutu widzimy przeprowadzoną z żelazną konsekwencją zasadę, że organizacja nie pragnie młodzieży niczego narzucać, obwarowywać każdego punktu sakramentalnym „członek ZMP jest zobowiązany". Chcemy, żeby młodzież przychodziła do ZMP dlatego, że organizacja pomaga jej przekuć w czyn gorące pragnienia stania się ludźmi o szerokich horyzontach myślowych, ludźmi wolnymi od przesądów i przeżytków w świadomości, uzbrojonych w uczące jak zmieniać świat idee marksizmu - leninizmu, wszechstronnie rozwiniętych, ludzi o nowej moralności, gorących budowniczych socjalizmu.

O tym mówi właśnie statut, zwracając się z tym bezpośrednio do każdego członka organizacji, do każdego młodego chłopca i dziewczyny. I ci wszyscy młodzi chłopcy i dziewczęta staną się realizatorami nowego statutu, oni przede wszystkim będą wcielać go w życie, a nie tylko aktyw, jak to formułował na naradzie towarzysz Wielkopolan.

I jeśli w tej sytuacji kolega Zunger z Politechniki (skądinąd bardzo wartościowy aktywista) — jak mówił o tym na naradzie towarzysz Prokopczuk — jest niezadowolony z projektu nowego statutu, bo oczekiwał, że ten nowy statut pozwoli mu usunąć z organizacji przynajmniej 60 proc. członków, bo są jemu — koledze Zungerowi niepotrzebni, bo on — kolega Zunger nie ma do nich zaufania — to trzeba się zastanowić z jakich to „marksistowskich pozycji" bierze się taka postawa.

Trwa w naszych uczelniach żywa, gorąca dyskusja nad dotychczasową pracą naszej organizacji i nad tym w jaki sposób winna ona wyglądać w przyszłości, abyśmy uniknęli popełnionych błędów i wszechstronnie rozwinęli i upowszechnili osiągnięcia.

Chcemy wszyscy wychować się na ludzi wolnych i świadomych, na ludzi o poglądach zgodnych z postępem i nauką, na bojowników uzbrojonych w niezwyciężony oręż przeobrażających świat idei marksizmu - leninizmu. Chcemy być ludźmi pełnowartościowymi — dzielnymi i zdrowymi, chcemy być skromni i uczciwi, ufni w swoje siły i radujący się życiem — chcemy być ludźmi godnymi naszej wielkiej epoki. W naszej przedzjazdowej dyskusji musimy wszyscy powiedzieć jak wyobrażamy sobie pracę zetempowskiej organizacji — aby móc się w niej na takich właśnie ludzi wychować.

I dlatego warto w dyskusji zastanowić się kogo obdarzymy szczytnym mianem aktywisty. Nie łatwo sobie na nie zasłużyć.

Podstawowe nasze wymaganie wobec aktywisty — to jego wysoka ideowość, oddanie całym sercem sprawie socjalizmu, to jego światopogląd oparty na naukowych podstawach marksizmu. Taki właśnie aktywista — dojrzały politycznie, zdyscyplinowany, posiadający wysokie poczucie odpowiedzialności za powierzony mu odcinek pracy — to ten, na którego zwrócone są oczy całej młodzieży. Jego wysoka kultura, wiedza, jego radość życia, jego skromność i serdeczna więź z młodzieżą uczynić go powinny prawdziwym jej przewodnikiem, lubianym i szanowanym przez całe społeczeństwo.

Jedynie tacy aktywiści na czele naszych organizacji na uczelniach — są w stanie tak nimi pokierować, że praca nasza zatętni życiem, że wzbogaci się o wiele nowych treści, że realizując w organizacji konsekwentną linię ideowo - wychowawczą nie będziemy rozmijać się w codziennej pracy z zainteresowaniami i dążeniami młodzieży — a właśnie odwrotnie, będziemy wychodzić im naprzeciw, rozwijać je i kształtować.

ELIGIUSZ LASOTA

Przeciw „amortyzacji serc"

Nie wierzyłem, że może przyjść taka chwila, kiedy człowiekowi już nic się nie chce, kiedy tonie w morzu apatii, kiedy zaczyna wątpić w słuszność swego postępowania. Ogarnia wtedy człowieka nastrój, który Majakowski nazwał „amortyzacją duszy i serca".

Ja znalazłem się w takim właśnie nastroju po obu artykułach POPROSTU, krytykujących pracę organizacji na V roku AM w Krakowie.

W tych artykułach powołano się na moje słowa, krytykujące złą pracę organizacji i pracę niektórych aktywistów naszego koła zetempowskiego. A oto co za to mnie spotkało. Przedstawiono mnie na konferencji dzielnicowej jako aspołecznego członka organizacji. Zarzucono mi nieróbstwo, brak aktywności. Co więcej, zarzucono mi, że jako członek zarządu koła nie wywiązywałem się z powierzonych mi zadań. Część tych zarzutów jest słuszna. To prawda, nie potrafiłem sam przełamać swych błędów. Jak się to mówi „zawaliłem" pracę w zarządzie koła. Nikt mi nie pomagał wtedy krytyką. Wówczas zobojętniałem na sprawy organizacji. Ale czyż to wszystko może być pretekstem do tego, by teraz, po moich krytycznych uwagach, kiedy przezwyciężyłem obawy i szczerze powiedziałem co myślę, urządzać na mnie nagonkę, wytwarzać atmosferę jakobym krytykował dla celów prywatnych, chcąc wyciągnąć z tego faktu osobiste korzyści? Insynuuje mi się karierowiczostwo, co znalazło szczytowy swój wyraz w artykule „Medyka Krakowskiego" gdzie zarzucano mi, że moje wypowiedzi są nieszczere, że są po prostu osobistymi obrachunkami.

Na szczęście wyrwał mnie z tej atmosfery depresji kawałek papieru z projektem statutu ZMP. Nie wiem, czy ktoś z taką osobistą radością czytał punkt za punktem. Pozwolicie, że przytoczę fragment z punktu 13, który utkwił mi w pamięci: „Każdy zetempowiec ma prawo zgodnie ze swym sumieniem krytykować wady i braki w działalności organizacji, jej władz kierowniczych i poszczególnych działaczy i nie może być pod żadnym pozorem prześladowany za krytykę".

Ja chcę w dalszym ciągu korzystać z tego prawa i powiedzieć o jałowości naszych zebrań, na których porusza się sprawy organizacyjne, wdaje się w bezowocne personalne polemiki, w najlepszym razie odczytuje się kilka sloganów gazetowych, a wszystko po to, by wyrobić sobie markę aktywnego członka organizacji.

A gdzież są u nas dyskusje na tematy światopoglądowe, na tematy polityczne, moralności komunistycznej? Czy może nie dyskutujemy dlatego, że wszystko jest jasne, że nie mamy wątpliwości? Nie. Ludzie żyjący na przełomie dwóch epok, idąc za głosem rozumu i serca, łamiąc w sobie istniejące opory, przyzwyczajenia, tradycje — muszą mieć wątpliwości. I to nie tylko wątpliwości gazetowe, programowe, na które są już z góry ustalone odpowiedzi, ale wątpliwości, które trzeba by było w szczerej atmosferze wyjaśnić, pokłócić się, podyskutować. I ja sam i moi koledzy mamy takie wątpliwości. I nie obwijajmy ich w bawełnę. Nie dyskutujemy otwarcie dlatego, że się boimy. I to boimy się podwójnie. Raz boimy się, żeby nie wyrobić sobie u niektórych aktywistów opinii wroga klasowego (o co nie tak trudno, jak się przekonałem na własnej skórze), a po drugie boimy się samych siebie, co jest wynikiem braku atmosfery w kole ZMP, która pobudzałaby do myślenia i dyskusji. Po co dyskutować o światopoglądzie i tym podobnych „drażliwych sprawach"? Po co się nad tym zastanawiać? Po co mącić błogi spokój bezmyślności lub przyzwyczajenia? Jakoś i bez tego życie się przeżyje.

Nie koledzy, nie możemy iść po najmniejszej linii oporu, chować głowy w piasek. Musimy rozerwać to błędne koło nieszczerości i nieufności. Zależy to z jednej strony od nas samych, z drugiej od naszych aktywistów.

Między nami a aktywem nie ma łączności. Jest natomiast dużo oziębłości i dystansu. Nigdy żaden aktywista nie rozmawiał ze mną tak po prostu, na codzień, po koleżeńsku o światopoglądzie, polityce czy też o filozofii marksistowskiej. Niektórzy aktywiści znają te sprawy bardzo powierzchownie. Czyż któryś z naszych „renomowanych" aktywistów odważyłby się porozmawiać jak równy z równym o pawłowizmie, o materializmie dialektycznym, zasadach filozofii marksistowskiej np. z takim Jasiem Trąbką? Pomyślcie jak głęboki sens kryje się za tym pozornym paradoksem.

Ciekawym objawem u części aktywistów jest niechęć do bezpośredniej dyskusji z kolegą. Gdybym był w skórze któregoś ze skrytykowanych w POPROSTU aktywistów, przede wszystkim chciałbym porozmawiać z krytykującym. Powiedzieć mu: „Bracie tak a tak, tu się mylisz a tu masz rację". Niestety taka rozmowa się nie odbyła. Nikt z aktywistów, których krytykowałem, od czasu ukazania się artykułu w POPROSTU nie zamienił ze mną ani słowa na ten temat. Ex cathedra — owszem. Ploteczki poza plecami — tak. Anonimowe oszczerstwa drukowane w „Medyku", a jakże. Ale wprost w oczy — nic. I pomyśleć, że ci sami autorzy „anonimu", którzy kilka tygodni wcześniej oficjalnie na zebraniu przyznawali rację krytyce POPROSTU, teraz uważają, że dotyczy ona marsjan a nie studentów V roku lekarskiego, że ci sami koledzy mają czelność zarzucać innym dwulicowość.

Organizować, mobilizować, pisać sprawozdania niektórzy aktywiści potrafią. Ale wziąć samemu udział w akcji wykopkowej czy innych tzw. „czynach studenckich", dać przykład osobisty, to już za dużo. A nam ciąży ten stosunek pokrzykiwaczy, chcemy więcej koleżeńskości, serdeczności, osobistego przykładu. Dlatego apeluję — aktywiści, zejdźcie z piedestału urzędników organizacyjnych. Mniej dbajcie o limity i papierkową robotę. Stańcie się kolegami. Może to mniej efektowne. Może się nie da ładnie ująć w sprawozdania, ale będzie z większym pożytkiem dla nas.

Krytykuję właśnie po to, aby wam i sobie pomóc, aby można było naprawić co się jeszcze da, aby można było pod koniec studiów powiedzieć: aktywista to najlepszy kolega.

✻

P.S. Po napisaniu tego artykułu na gorąco, miałem wątpliwości czy nie jest on tylko oparty na moich może niesłusznych spostrzeżeniach, czy nie przemawia przeze mnie rozgoryczenie. Przeczytałem go więc kilku kolegom z mojej grupy, a także tow. Klatce (były przewodn. ZD ZMP), z którym przedtem bardzo ciekawie i długo dyskutowałem (była to pierwsza tego rodzaju dyskusja z aktywistą). Przyznali mi wszyscy słuszność, z tym, że zarówno tow. Klatka jak i koledzy zarzucili mi zbytnie generalizowanie. To co napisałem nie odnosi się do wszystkich aktywistów, są przecież i zupełnie inni. Racja, wiem o tym. I rzeczywiście byłoby krzywdzące, gdyby powyższe wzięli do siebie kol. Makuch, Łachecki, Zontek i wielu, wielu innych.

RYSZARD GRYGLEWSKI
stud. V r. wydz. lek. Akademii Medycznej w Krakowie

O zaciągu od podszewki

Nie mam zamiaru opisywać osiągnięć zaciągu pionierskiego, gdyż świadczy o nich najlepiej wielotysięczna rzesza młodzieży, która z uporem i dumą walczy o to, żeby PGR-y jak najszybciej stały się wydajnymi fabrykami mięsa i zboża. Chciałbym natomiast przed II Zjazdem ZMP, w oparciu o poczynione w terenie obserwacje, zwrócić uwagę na szereg bolesnych braków występujących w pracy ZMP i innych czynników odpowiedzialnych za zaciąg w tym celu, żeby można im było zapobiec na przyszłość. Braki te utrudniają pracę wychowawczą z młodzieżą, gdyż podrywają jej zaufanie do organizacji. Niechże wiosenny etap zaciągu będzie już od tych błędów wolny.

ZACIĄG I GROCHOWSCY GWIAZDORZY

W zaciągu, obok wielkiej liczby młodzieży odpowiadającej wymogom apelu, znalazło się również sporo ludzi, którzy wyjazd do PGR potraktowali jako okazję do zwiedzenia za darmo kraju, znalazło się wielu osobników zwolnionych dyscyplinarnie z pracy, a nawet uciekających przed prawem.

Niestety, poszczególne instancje ZMP-owskie, chcąc wypaść jak najlepiej wobec władz zwierzchnich, zaczęły przyjmować na zaciąg niemal każdego, kto się nawinął pod rękę. Na przykład Zarządowi Dzielnicowemu — Grochów wystarczyła deklaracja słowna zgłaszającego się, że „kocha Polskę Ludową i gotów jest z gorącym sercem jechać na odłogi", a całe Prezydium ogarniał bezmiar szczęścia: ile to patriotów wychowano w dzielnicy!

Ten sam Zarząd Dzielnicowy wysłał grupę rozchuliganionych chłopców, z których chyba żaden nie znał nawet apelu ZG. Zadowolono się przy tym oświadczeniem pisemnym złożonym przez „wodza" tej grupy, że bierze za kolegów całkowitą odpowiedzialność. Oczywiście, po przybyciu do PGR, oświadczenie to stało się przedmiotem kpin ze strony „wodza" i jego „przybocznych", którzy zdrowo naśmieli się z przewodniczącego ZD, Biernackiego.

Stara załoga PGR w Kurkławkach dowiedziała się z radio i gazet, że przyjeżdżają najlepsi. Toteż wpadła w zdumienie, kiedy okazało się, że osiągnięcia miejscowych chuliganów są niczym w porównaniu z wyczynami „grochowskich gwiazdorów". Oczywiście wybryki poszczególnych przybyszów poszły na konto całości. Nikt nie mówił: „to przypadkowi ludzie", lecz — „tacy są pionierzy". A ponieważ przypadkowych ludzi było cośkolwiek za dużo, z miejsca chwyciła plotka, że na zaciąg „deleguje" się zwolnionych z 32 § i różnego typu przestępców. Mnie samego pytano też najpoważniej, czy przyjechałem dobrowolnie. Zamiast serdeczności, taka atmosfera musiała rodzić nieufność i lęk. Starzy PGR-owcy dopatrując się w pionierach zamaskowanych kryminalistów, woleli obchodzić nas z daleka. Ciężko było tłumaczyć, że to jest krzywdzące nieporozumienie, że ogromna większość młodzieży to uczciwi ludzie, a tylko na skutek lekkomyślności i karygodnej beztroski niektórych instancji ZMP dostała się do zaciągu również pewna ilość chuliganów i nierobów.

Łobuzów zwyciężyliśmy. Odjechali z powrotem do Warszawy. I oto co się dzieje. Kiedy opowiadałem o tym w stolicy, spotkałem się z zarzutem, że „to był pochopny krok, że należało ich wychować". No i oczywiście powołano się na Makarenkę.

Mnie się natomiast wydaje, że postąpiliśmy słusznie, gdyż nie mieliśmy innego sposobu wytłumaczenia ludności, że chuligaństwa tolerować nie będziemy. Miało to duże znaczenie polityczne i wychowawcze.

NIE LAKIEROWAĆ

W wielu wypadkach nie mówiono młodzieży prawdy o warunkach życia w PGR. Być może, że nie wszystkie instancje ZMP-owskie same wiedziały, jaki charakter ma praca w gospodarstwie. Dlatego mogły się zdarzać takie „humorystyczne" — pożal się Boże — sceny: kiedy z Inowrocławia wyjeżdżała grupa pionierów, przewodniczący tak „ubojowił" chłopców: „Jedziecie na ciężką pracę, może i krowy przyjdzie wam doić, kto wie?" W tym samym ZP obiecywano młodzieży zarobek po 60—80 zł. dziennie. Obiecywano również, że każdy z miejsca otrzyma pracę w swoim zawodzie. A skutki? — Kiedy elektrykom wsadzono w ręce widły, a murarzom lejce końskie, kiedy okazało się, że kwota 60 zł. jest na razie nieosiągalna, pionierzy podnieśli protest: „Oszukano nas". I po co? Można było od razu powiedzieć jak się sprawy mają, czyśmy dzieci? — każdy by przecież zrozumiał,

To mnie oburza, dlaczego w ZP jasno nie powiedziano młodzieży jakie będą zarobki i że początkowo trzeba będzie pracować „gdzie popadnie"? Czyżby bano się, żeby jakiś chłopiec się nie rozmyślił? Z czego się wywodzi ta nieuzasadniona nieufność w stosunku do młodzieży? Chyba ze słabości samych aktywistów, którzy nie znają młodzieży, nie wiedzą, do czego jest zdolna i nie wierzą jej.

Trzeba powiedzieć, że idea zaciągu pionierskiego została nie zawsze właściwie zrozumiana przez szereg instancji — przede wszystkim aparatu PGR, a także zetempowskich i partyjnych. Po prostu ułożono sobie teorię, że pionier to jest taki człowiek, który wie, że przyjechał pracować w trudnych warunkach i dlatego nie powinien się o nic upominać. Zgodnie z tą teorią zamykano usta wielu pionierom, którzy ośmielili się domagać lepszego jedzenia, oszklenia okien, rewizji złych obliczeń zarobków, wyremontowania rozwalonych pieców. Dławiono tę krytykę demagogicznym zarzutem: „Coś u was słabo z patriotyzmem, wygodnisie jesteście — nie pionierzy". „Podbudowani" w taki sposób ludzie nabierali wody w usta, bo każdy wolał spać w zimnie, niż być posądzony o brak hartu. Część jednak nie wytrzymała i — uciekła. Zimny wychów dobry jest bowiem dla cieląt, ale ludziom nie wychodzi na pożytek.

Czyż fakty te nie są dowodem bezduszności, wrednego stosunku do ludzi? Nikt przecież nie żąda luksusów a tylko trochę serca i opieki w postaci zagwarantowania podstawowych warunków normalnego ludzkiego życia. Trzeba było dopiero dobijać się do władz centralnych, żeby pomogły naprawiać tę sytuację. A przecież jest jasne, że powinny to załatwić władze terenowe.

✻

My chcemy stary bałagan wymieść z PGR-ów. I robimy co możemy w tym kierunku. Mamy młodzież zdolną do wszystkiego i zapalczywą w robocie. Chodzi o to, że potrzebujemy większej pomocy i opieki politycznej ze strony organizacji partyjnych i ZMP-owskich, większego zainteresowania życiem pionierów ze strony całego społeczeństwa.

JAN CZUŁA
pionier z PGR Kurkławki pow. Kętrzyn

O kryłyce, astronomii i bogu Janusie

W numerach 35 i 38 POPROSTU z ubiegłego roku ukazały się dwa artykuły Włodzimierza Godka omawiające pracę organizacji zetempowskiej na V roku krakowskiej Akademii Medycznej. Artykuły wskazywały na pewne podstawowe niedomagania w pracy wychowawczej organizacji. Najważniejszymi z nich były: oderwanie pracy organizacji od zainteresowań i potrzeb młodzieży, funkcjonalizm, strach młodzieży przed niektórymi aktywistami, wskutek czego w organizacji nie było atmosfery pozwalającej studentom na swobodne i szczere wypowiadanie wątpliwości ideologicznych. Podawane były fakty tłumienia krytyki przez Zarząd Dzielnicowy ZMP.

Studenci, nie zgadzając się z niektórymi sformułowaniami, na ogół zgodnie przyznawali, że artykuły w swej istocie są słuszne i potrzebne.

Stwierdził to w referacie na dzielnicowej konferencji sprawozdawczo-wyborczej tow. Tadeusz Popiela, przewodniczący Zarządu Dzielnicowego ZMP, STUDENT V ROKU WYDZIAŁU LEKARSKIEGO. Tow. Popiela czytał pierwszy artykuł pt. „Gdy praca organizacji oderwana jest od życia" jeszcze przed jego wydrukowaniem, uznał go wtedy za słuszny, podał nawet dodatkowe fakty, ilustrujące tezy autora.

Podobnie ustosunkował się do artykułu I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR, STUDENT V ROKU, tow. Jan Grochowski, w czasie narady partyjnej poświęconej problemom pracy zetempowskiej w świetle opublikowanych artykułów.

Również tow. Mazurek, redaktor naczelny pisma uczelnianego „Krakowski Medyk", i tow. tow Cichecka i Twardowski — członkowie redakcji (STUDENCI V ROKU WYDZ. LEKARSKIEGO) zgadzali się z tezami obu artykułów. Zdawało się więc, że krytyka zawarta w artykułach W. Godka spotkała się ze zrozumieniem, a aktywiści podeszli do niej w sposób poważny.

Tymczasem w nr 10 „Krakowskiego Medyka" — pisma znajdującego się pod bezpośrednią opieką Zarządu Dzielnicowego ZMP i Komitetu Uczelnianego PZPR — ukazał się następujący „list do redakcji":

„Echa krytyki.

W związku z zamieszczonymi w POPROSTU artykułami krytykującymi pracę organizacji ZMP na V r. wydz. lekarskiego nadesłano do redakcji „Krakowskiego Medyka" korespondencję, którą zamieszczamy bez żadnych zmian, sądząc, że wywoła ona dyskusję.

„Obrachunki przedzjazdowe" — oto podtytuł tytułu.

Szkoda — wielka szkoda — że zamiast czerwonego podtytułu — „Obrachunki" obywatel Godek nie napisał „Osiągnięcia i błędy" a to byłoby naszym zdaniem o wiele słuszniejsze, z tym jednak, że należałoby w takim razie zmienić treść artykułu, który w tej chwili przedstawia faktycznie tylko... o b r a c h u n k i. Liczymy przeto dalej idąc w ślady „artykułu".

Musimy jednak wyjaśnić sprawę — czy artykuł przedstawia istniejące fakty na V roku AM, czy dotyczy studentów V roku — z Marsa?

Bo — jeżeli chodzi o V r. AM, to możemy, a nawet czujemy się w obowiązku podkreślić nasze błędy, ale jeżeli zatrzymamy się nad treścią artykułu pierwszego to dotyczy chyba studentów innej planety (AM krakowska jest na planecie, która zowie się Ziemia), po co przeto fruwać w obłokach — zostawmy to astronautom albo redakcji POPROSTU.

Udowodnić? Możemy.

Jednak maleńkie zastrzeżenie — nie bronimy się, ale wyjaśniamy na interwencję redakcji POPROSTU.

Ob. Godek 90 proc. słów (tks, tks groszy za słowo) włożył w usta kol. Gryglewskiego.

Powtarzać tych słów nie mamy zamiaru, są dość dobrze znane (na pocieszenie redakcji — nakład krakowski POPROSTU został wykupiony w całości), ale jak wspominaliśmy a priori dotyczą one innej planety, jeżeli chodzi o podstawowe zarzuty i fakty podane, gdyż sam kolega Gryglewski po ukazaniu się artykułu składa oświadczenia, goni, przeprasza, narzeczona zrywa z nim długoletnią znajomość, a on sam krzyczy — „ja tak nie mówiłem", „to nie dotyczy studentów V roku AM".

Wobec tego kogo dotyczy? To pytanie przewija się wśród studentów.

Jest odpowiedź. Eureka. Kolumb odkrywa Amerykę w roku 1954. — Ukazał się drugi artykuł, wyjaśnił — wreszcie.

„Nie szukajcie winnych na roku V, gdyż inicjały pierwszego artykułu są zmyślone..." I znowu nic. Musimy przyjąć przeto znaną niektórym dewizę — „S z u k a j c i e a z n a j d z i e c i e".

c. d. n.
TA-JA-TO

Po przeczytaniu tego — nazwijmy utworu — pomyśleliśmy: wolność słowa nie jest w krakowskiej Akademii Medycznej czczym frazesem. Sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR tow. Grochowski, który osobiście kontroluje artykuły zamieszczane w „Medyku" ma inne zdanie, przewodniczący ZD ZMP, tow. Popiela i cała redakcja — również, a jednak wydrukowali!

Zaintrygował nas dość dziwny podpis „TA-JA-TO". Kto to może być? Warto by z nim podyskutować, nie o pracy organizacji zetempowskiej — bo o niej jak wynika z treści „utworu" niewielkie ma pojęcie — i nie o samym „utworze" — bo jest niepoważny, a przy tym ordynarny, ale o astronautach i poprawnej polszczyźnie.

Jednak zdziwienie nasze wzrosło niepomiernie, gdy dowiedzieliśmy się, że autorzy „utworu" to: 1) TA — Tadeusz Popiela, PRZEWODNICZĄCY ZARZĄDU DZIELNICOWEGO ZMP, 2) JA — Jan Grochowski, SEKRETARZ KOMITETU UCZELNIANEGO PZPR, a 3) TO — to Antoni Bromboszcz, członek egzekutywy Komitetu Uczelnianego PZPR.

Dowiedzieliśmy się o tym z ich własnych ust.

✻

Kiedyś podobno istniał bożek Janus, który miał 2 oblicza. Ale to było, jak mówią w Warszawie, „dawno i nieprawda". Gorzej jest, gdy 2 oblicza ma student w Polsce Ludowej.

ASTRONAUCI

✻

A całkowicie źle, gdy odnosi się to do członków partii, ludzi pełniących odpowiedzialne funkcje społeczne. I dlatego niepoważny incydent z „Echem krytyki", który wywołał oburzenie wielu studentów krakowskiej AM, musi mieć poważne zakończenie. Ponieważ okazuje się, że od ZD ZMP i KU PZPR przy Akademii Medycznej trudno jest oczekiwać sensownego i słusznego załatwienia sprawy — kierujemy ją do Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Zarządu Wojewódzkiego ZMP w Krakowie.

REDAKCJA

ZDZISŁAW WRÓBEL

rys. JERZY ĆWIERTNIA

REKTOR SIĘ GNIEWA

Powieść z życia młodzieży studenckiej Torunia, której akcja rozgrywa się w roku 1947, a której fragment zamieszczamy, nosi tytuł „Inauguracja". Autorem jej jest młody literat Zdzisław Wróbel. Powieść ta ukazała się ostatnio nakładem „Iskier".

Pięć minut przed drugą Zbyszek Wójcik i Staszek Myszka stanęli przed drzwiami, na których widniała nieduża oszklona tabliczka z napisem „Rector Magnificus". Przyglądali się jej chwilę z takimi minami, jak zagraniczni turyści odczytują nazwy ulic w obcym mieście. Po pewnym czasie wymienili porozumiewawcze spojrzenia, trącili się łokciami i wreszcie Zbyszek zapukał trzy razy. Z pokoju nie doszedł ich żaden dźwięk. Powtórzył pukanie. Cisza. Nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Pokój był pusty.

Zbyszek inaczej sobie wyobrażał gabinet rektora. Sądził, że będzie wyglądał przynajmniej tak, jak pokój dziekana. A tu znajdowały się tylko dwa okrągłe stoliki, a przy każdym z nich po trzy czerwone pluszowe fotele. Na ścianie wisiał jakiś duży pejzaż Jamontta przedstawiający brzeg wiślany i skrawek „Małpiego gaju".

Okazało się jednak, że pokój ten stanowił tylko rektorską poczekalnię. Z bocznych drzwi wyszedł właśnie woźny Mikołaj i zagadnął chłopców:

— Panowie do pana rektora? Kogo mam zaanonsować?

Gdy wymienili swoje nazwiska, skłonił się lekko.

— Właśnie pan rektor się dowiadywał, czy panowie już przyszli. Proszę bardzo — rozwarł szeroko te same drzwi, które przed chwilą zamknął za sobą. — Panowie Wójcik i Myszka, panie rektorze — obwieścił kłaniając się znowu, lecz tym razem znacznie głębiej.

— A gdzie ten trzeci? — spytał Krogulecki patrząc na przybyszów przymrużonymi oczyma.

Siedział sztywny i surowy za ciężkim, dębowym biurkiem, stojącym w głębi obszernej sali. Szczegółem, który najbardziej rzucał się w oczy w tym pokoju, był olbrzymi arras zakrywający całą środkową ścianę. Kunsztownie wyszyty ręką mistrza wzorzec przedstawiał jakąś mitologiczną scenę łowów.

Gnąc się w ukłonach woźny Mikołaj wytłumaczył, że pana Żaka nie zastał w domu, ale zawiadomienie zostawił w drzwiach. Do zainteresowanego na pewno już dotarło. Rektora nie zadowoliło jednak to wyjaśnienie.

— Nie kazałem wam zostawiać listu w drzwiach, tylko odszukać adresata — zaburczał.

— Tak jest, panie rektorze — woźny zgiął się tak nisko, jakby chciał wpełznąć pod biurko.

— Zawołajcie dziekana Gleba — rozkazał Krogulecki.

— W tej chwileczce, panie rektorze — Mikołaj spłynął z pokoju posuwistym, kelnerskim krokiem.

Wójcik i Myszka stali przed rektorskim biurkiem coraz mniej pewni siebie. Zbyszek obciągał rękami raz po raz przykrótką marynarkę i błądził niezdecydowanie wzrokiem po rozłożonych na biurku przyborach do pisania. Staszek skłonił głowę jak skazaniec, a ręce skrzyżował na plecach.

Rektor nic nie mówił, tylko lustrował ich od stóp do głów nieprzyjaznymi, zimnymi oczyma. Przeszedł kolejno wszystkie szczegóły ich mizernej garderoby: połatane buty, wypchane na kolanach spodnie, podniszczone i pomięte bluczyny. Dłużej zatrzymał spojrzenie na twarzach pospolitych i kanciastych, z których trudno było wyczytać, jakie właściwie uczucia wyrażały. Wreszcie po dłuższej pauzie rozchylił wystające szczęki i wycedził przez rzadkie, pożółkłe zęby:

— Czy wiecie, dlaczego was tutaj wezwałem?

Staszek przytaknął głową, a Zbyszek zrobił ruch przeczący.

— Wiecie, czy nie wiecie?

— Na zawiadomieniu tego nie było — powiedział Zbyszek niepewnym głosem.

Krogulecklemu błysnęły oczy i szybkim ruchem podniósł z biurka zwinięty w czworo „Głos Robotniczy" z ich artykułem na pierwszym planie.

— Czy wy jesteście autorami tej... tej denuncjacji? — potrząsnął gazetą.

— Czego? — spytał Staszek, jakby nie zrozumiał obcego słowa.

— Tego artykułu o naszym uniwersytecie.

— Tak, myśmy to napisali razem z Żakiem — potwierdził Zbyszek.

— A więc przyznajecie się do winy?

W tym momencie do pokoju wszedł profesor Gleb, dziekan wydziału humanistycznego, jak zawsze pochylony, zgięty niemal w kabłąk, z trzęsącą się głową wielkoluda. Zbyszek zetknął się z nim dotychczas dwa razy: przy immatrykulacji i na herbatce koła historyków.

— Oni przyznają się do wszystkiego, panie dziekanie — zawołał w jego stronę Krogulecki nie bez odcienia triumfu w głosie.

Gleb osunął się na jeden z foteli.

— Przyznają się? Tym gorzej dla nich.

— Dlaczego napisaliście ten... ten paszkwil? — rektor zwrócił się do Staszka, który gwałtownie pobladł przy ostatnich słowach dziekana.

— Jak to dlaczego?... Po prostu... po prostu...

— Uważaliśmy to za swój obowiązek — pomógł mu Zbyszek.

— Obowiązek? — wykrzyknął Krogulecki. — Oczernianie uniwersytetu on śmie nazywać obowiązkiem! Zaiste, tupetu nie brak tym... tym... młodzieńcom — wykrzywił ironicznie usta w stronę Gleba. — Słyszał pan, panie dziekanie?

Gleb poruszył głową i zamrugał powiekami, jakby się ocknął z drzemki lub głębokiej zadumy.

— Wstydu nie mają i honoru — wycedził przez zęby.

— O to, to. Honor studenta!—Krogulecki raptownie powstał z krzesła i przechylił się przez biurko w stronę przesłuchiwanych. — Wy jesteście z którego roku? Z pierwszego? Z pierwszego? — wyprężył się i przyoblekł twarz w maskę patetycznego dostojeństwa. — Kilka miesięcy temu ślubowaliście uroczyście w obliczu moim i pana dziekana, że będziecie strzec honoru studenta jak źrenicy oka, jak największego skarbu...

— I ja im ściskałem ręce — wtrącił profesor Gleb z żalem w głosie.

— I pan dziekan ściskał wam dłonie — powtórzył Krogulecki. — I w tak krótkim czasie zdążyliście splamić, poszargać, zbezcześcić ten najświętszy skarb studenta — honor. I to nie tylko poderwaliście własną reputację, ale zbryzgaliście błotem czyste, niepokalane mury naszej „Almae Matris", rzuciliście cień na imię największego polskiego uczonego, patrona tej uczelni.

— Wstyd mi, panie rektorze, że tacy ludzie znaleźli się na moim wydziale — powiedział Gleb.

— Przecież... przecież myśmy napisali prawdę — wyjąkał Zbyszek.

— Prawdę... prawdę... — zasyczał rektor — pojęcie prawdy to rzecz względna. Pozorna prawda może być obiektywnym oszczerstwem. A wasze insynuacje są gorsze od oszczerstwa. To potwarz, potwarz!

Nacisnął z pasją ebonitowy guziczek na skraju biurka. Woźny Mikołaj jednym susem wpadł do pokoju.

— Słucham pana rek....

— Doktora Stolarczyka, tylko szybko, na jednej nodze!

Stolarczyk zjawił się natychmiast, jakby czekał za drzwiami na wezwanie.

— Słucham pana rektora — zameldował się tak samo jak woźny i zatrzymał się przy drzwiach.

Krogulecki spojrzał najpierw na niego, potem na Gleba, a w końcu na winowajców stojących jeszcze ciągle przed biurkiem z posępnymi minami. Po chwili milczenia wyrzekł wysokim, krzykliwym głosem:

— Komunikuję panu, panie Stolarczyk, jako przewodniczącemu komisji dyscyplinarnej, że stawiam wniosek o usunięcie z uniwersytetu obywateli: Wojcika... — przysunął do nosa leżącą na stole kartkę papieru — Myszkę i Żaka za... za... splamienie honoru studenta.

— Tak jest, magnificencjo — Stolarczyk skłonił się grzecznie.

— Jak to... usu... nięcie... — wyjąkał Zbyszek i bezwiednie chwycił w rękę stojący na biurku miniaturowy tors miłońskiej Venus.

Rektor gwałtownie cofnął się w tył potrącając fotel i stojący obok stolik z telefonem. Gleb znowu zamrugał sennymi oczkami i mlasnął językiem po obwisłej wardze.

— Gdyby chcieli to wszystko odwołać... — odsłonił urywek napoczętej myśli, którą Krogulecki w lot pochwycił i zaraz rozwinął dalej:

— Jeżeli odwołacie w gazecie wszystko, coście tam powypisywali na naszych czcigodnych panów profesorów — nie spuszczał wzroku z rąk Zbyszka — to kto wie, czy nie będziemy mogli zniżyć tej kary lub nawet anulować jej zupełnie.

Zbyszek, idąc za spojrzeniem rektora, dopiero teraz zauważył, co trzyma w ręce, i zawstydzony, szybkim, niezręcznym ruchem postawił figurkę z powrotem na biurku.

— Czy zrozumieliście, co pan rektor do was mówił? — powiedział Stolarczyk zbliżywszy się do chłopców.

Wymienili krótkie, porozumiewawcze spjorzenia, lecz milczeli dalej.

— Niech tutaj zaraz napiszą odwołanie — Krogulecki zwrócił się do Stolarczyka, jakby chciał go wziąć za pośrednika w tej sprawie — to wtedy zobaczymy, może im daruję.

Stolarczyk skinął głową i ujął Zbyszka za ramię.

— Siadajcie tutaj, kolego, i piszcie, co pan rektor wam powie — pociągnął go w stronę okrągłego stolika, na którym leżały przybory do pisania i pamiątkowa księga z wizerunkiem Kopernika, gdzie wpisywali się co znaczniejsi goście po złożeniu wizyty magnificencji. Podobno były tam nawet autografy samego ministra oświaty i francuskiego ambasadora bawiącego kiedyś przejazdem w tym mieście.

Zbyszek zrobił dwa kroki naprzód, ale zatrzymał się w połowie drogi, oswobodziwszy ramię z uchwytu Stolarczyka.

Krogulecki tymczasem położył na stole arkusz papieru.

Gleb widząc wahanie Wójcika wskazał palcem na Myszkę.

— Zdaje się, że ten jest odważniejszy.

— Niech pan siada, niech pan siada — natarł na Staszka rektor i pociągnął go do stolika. Stolarczyk pozostawiwszy Zbyszka w spokoju podskoczył mu z pomocą. Wspólnymi siłami zawlekli Myszkę na krzesło i wcisnęli mu do ręki pióro.

Krogulecki pochylił się nad stołem i zaczął dyktować.

— My, niżej podpisani, oświadczamy niniejszym, przecinek, że w artykule, cudzysłów otwarty, nie chcemy słyszeć z naszych katedr reakcyjnych teorii pseudonaukowych, cudzysłów zamknięty, przecinek, opublikowanym w, cudzysłów otwarty, Głosie Robotniczym, cudzysłów zamknięty...

Staszek drżącą ręką stawiał na papierze koślawe litery. Stalówka skrzypiała i odmawiała posłuszeństwa. Na początku nabrał za dużo atramentu i zrobił kleksa.

— Piszcie wyraźniej — upominał go Stolarczyk.

— Kiedy to takie pióro...

Stolarczyk sięgnął do kieszeni i wyciągnął swego „Pelikana".

— Tylko mi nie popsujcie.

Rektor po namyśle kontynuował dyktando.

— ...podaliśmy w sposób tendencyjny nasze osobiste wrażenia i sądy wynikłe z nieznajomości rzeczy i ignorancji, przecinek, za co przepraszamy panów profesorów i władze uniwersyteckie, kropka. Stwierdzamy, przecinek, że takie postępowanie jest niegodne... niegodne studenta Polski Ludowej, kropka.

— My tego nie podpiszemy — odezwał się nagle Zbyszek i zbliżył się do stolika, przy którym stał rektor.

Staszek zatrzymał w powietrzu pióro nad słowem „niegodne".

— Co? Co? Nie podpiszecie? — ryknął Krogulecki. — To ja się nad wami lituję, a wy mi się tu jeszcze będziecie stawiać? Wyrzucę z uniwersytetu na zbity pysk, z szumem i trzaskiem na całą Polskę. Doktorze Stolarczyk!

— Słucham magnificencjo.

W tej chwili drzwi do gabinetu otwarły się z rozmachem i stanął w nich podparty na kulach... Jerzy Barenda.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — wyszeptał profesor Gleb, którego krzyk rektora wyrwał z kolejnej drzemki.

Słowa wypowiedziane przez profesora Gleba wyrażały nie tylko jego reakcję na nieoczekiwane pojawienie się Barendy w gabinecie rektora. Wygląd Jerzego mógł przerazić każdego, kto na niego spojrzał. Bladozielonkawy kolor twarzy, zapadnięte oczodoły, ręce obwisłe na kulach czyniły go raczej podobnym do widma niż do człowieka. Wszyscy obecni w pokoju patrzyli na niego w zdumieniu czy w przestrachu i milczeli, jakby im mowę odjęło.

Pierwszy ochłonął z wrażenia Krogulecki. Jego wystające szczęki, wykrzywione ze złości, zwarły się, a potem znowu rozchyliły w sztucznym uśmiechu. Podszedł w stronę Barendy i wyciągnął rękę na powitanie:

— Więc nasz kochany sekretarz już zdrów?

W pełnej napięcia ciszy zabrzmiało to fałszywie i niezręcznie. Jerzy zrobił dwa kroki na kulach i zachwiał się. Rektor chwycił go za ramię.

— Niech pan spocznie, proszę bardzo — przysunął krzesło i pomógł mu usiąść.

— Rozmawiam tu sobie właśnie ze studentami — zaczął Krogulecki w tonie informacji — ale oni mogą poczekać, jeżeli pan ma do mnie jakąś sprawę. Chorzy mają pierwszeństwo — dodał niby żartem i zaraz się połapał, że aluzja do choroby była tak samo nie na miejscu, jak przedtem wspomnienie o zdrowiu.

Jerzy spojrzał na Wójcika i Myszkę, potem przyjrzał się Glebowi i Stolarczykowi, który w międzyczasie umknął pod drzwi, i rzekł do rektora:

— Proszę sobie nie przeszkadzać moją osobą. Ja zaczekam, aż pan rektor skończy z nimi. Tymczasem trochę odsapnę.

Spokojny i pozornie obojętny ton Jerzego podtrzymał w Krogulecklm przypuszczenie, że sekretarz komitetu uniwersyteckiego trafił do niego przypadkowo, w zupełnie innej sprawie i nie był jeszcze poinformowany o nieszczęsnym artykule. Trzymał się więc kurczowo raz obranej taktyki, polegającej na jak najszybszym pozbyciu się niepożądanego gościa:

— Ależ w żadnym razie nie pozwolę panu tyle czekać. Sprawy partyjne zawsze u mnie były na pierwszym miejscu, a tym bardziej teraz, po tym wszystkim... Więc już pan rozpoczął urzędowanie? Nic mi o tym nie mówił pan Stolarczyk, myślałem, że jeszcze on pana zastępuje... — niespokojnie biegającymi oczyma szukał pomocy u Stolarczyka, lecz mina tamtego wyrażała tylko bezradne zakłopotanie.

— Nie wiedziałem o tym, że towarzysz Barenda już opuścił szpital — Stolarczyk usprawiedliwił się jednocześnie przed rektorem i przed Jerzym.

Jerzy widząc zmieszanie obu nie spieszył się z wyjaśnieniem sytuacji. Jego początkowe zdenerwowanie ustąpiło miejsca chłodnej czujności. Zdawał sobie sprawę z przewagi jaką miał w tej chwili nad Krogulecklm.

— Ależ mnie się nie śpieszy, panie rektorze. Ja mam czas — powiedział naśladując ceremonialny ton rektora.

Kto wie, jak długo by jeszcze trwały te grzecznościowe ceregiele, gdyby nie przerwał ich Zbyszek Wójcik:

— My nie odwołamy tego, cośmy napisali, panie rektorze — rzekł stając między Barendą i Krogulecklm.

Wywołało to konsternację, podobną, jak przy wejściu Barendy. Gleb chrząknął i mlasnął, Stolarczyk przysiadł nagle na skraju krzesła, a Krogulecki przeszył Zbyszka piorunującym spojrzeniem. Zdawało się, że znowu wybuchnie, lecz uprzedził go dziekan:

— Czy nigdy cię nie uczono, młodzieńcze, że starszym nie należy przeszkadzać w rozmowie? — zagadnął Zbyszka.

Spokojny, zrównoważony głos Gleba zmitygował rektora. Zamiast krzykliwej repliki rzucił tylko groźne ostrzeżenie:

— Jeżeli nie odwołacie, to poniesiecie pełne konsekwencje — i zaraz, jakby się tego zawstydził, schylił się w stronę Barendy — przepraszam, że ja z panem...

Z tego, co Krogulecki powiedział do Zbyszka, Jerzy zorientował się, jak daleko sprawy zaszły. Wiedział już teraz, czego się trzymać. Ale nie zdradził jeszcze, że właśnie to go do rektora sprowadziło.

— No więc jeżeli pan rektor woli ze mną wpierw porozmawiać, to nie będę się sprzeciwiał — udał, że ulega rektorskiej uprzejmości.

— Tak? To doskonale. W takim razie panów przeproszę na chwilę — wskazał ręką na drzwi poczekalni.

Gdy wszyscy wyszli z gabinetu, rektor usiadł w fotelu naprzeciw Barendy i łamiąc kolejno trzy zapałki, zapalił papierosa. Jerzy usiłował sięgnąć po stojącą na biurku karafkę z wodą, ale Krogulecki go wyręczył i sam nalał wody do szklanki.

— Służę panu — podał mu szklankę uprzejmym gestem.

„Tylko zachować spokój. Tylko się nie unosić" — myślał Jerzy pijąc powoli zimną wodę.

— A może pan miałby ochotę na kawę? — przypomniał sobie nagle rektor. — Mikołaj zaraz może podać — chciał już nacisnąć umieszczony na biurku guzik dzwonka, lecz Jerzy powstrzymał go.

— Dziękuję, nie pijam kawy.

— Szkoda, byłbym pana ugościł.

Milczeli chwilę, mierząc się wzrokiem. Jerzy zastanawiał się, jak zacząć rozmowę, by unikając kłótni skłonić rektora do zmiany stanowiska. Ale żaden wybieg nie przychodził mu do głowy. Widząc zniecierpliwienie i rosnący niepokój Krogulecklego, przeszedł od razu do sedna sprawy:

— Nigdy się nie spodziewałem, panie rektorze, że stanie pan otwarcie po stronie reakcji.

Krogulecki wzdrygnął się:

— Jak to po stronie reakcji? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Wiem dobrze, co pan chce zrobić z tymi, którzy tutaj byli przede mną.

— Co? Z kim? Skąd pan się dowiedział? W jaki sposób... Ja nic... — bezładne pytania zdradzały jego zaskoczenie.

— Znam pana przecież nie od dziś — ciągnął Jerzy dalej, nie zważając na to, co mówił rektor — i dziwię się, że właśnie pan, jeden z najbardziej postępowych profesorów na naszym uniwersytecie, zajął w tej sprawie stanowisko tak nieprzejednane i — nazwijmy rzecz po imieniu — zgoła wrogie naszej...

— Tylko bez insynuacji, mój panie — rektor wyprostował się i zmarszczył brwi. — Niech pan przyjmie do wiadomości, że moje postępowanie w tej kwestii uzgodniłem z partią.

Teraz z kolei Barenda zdębiał.

— Z partią? Z naszą partią?

— Z pańskim zastępcą, doktorem Stolarczykiem.

Zanim Jerzy zastanowił się, jak na to zareagować, Krogulecki zadzwonił na woźnego i zlecił mu wezwać doktora Stolarczyka.

Stolarczyk wszedł do gabinetu na palcach i z miną winowajcy przysiadł na brzegu krzesła obok stolika, przy którym siedzieli rektor i Barenda.

— Prawda, że dzwoniłem dziś rano do pana, panie kolego? — spytał rektor wysuwając w stronę Stolarczyka swój spiczasty podbródek.

— Tak jest, magnificencjo — przytaknął Stolarczyk uciekając wzrokiem gdzieś pod stół.

— I pan mi powiedział, że partia nie ma z tym nic wspólnego?

— Tak jest — Stolarczyk zerknął kątem oka na Barendę i przeraził się zielonkawej bladości jego twarzy — to znaczy... rzeczywiście tak było... myśmy tego, nie tego... to znaczy oni sami....

— Mówił pan nawet coś o wyciągnięciu konsekwencji.

— Tylko napomknąłem o tym.

Rektor spojrzał triumfująco na Jerzego.

— No więc widzi pan, panie Barenda, że ja jestem wobec partii w porządku.

— Chwileczkę — powiedział Jerzy i znowu sięgnął po karafkę z wodą. — Zdaje się, że ktoś z nas nie całkiem jest przytomny. Pewnie ja — dodał szybko, spostrzegłszy, że rektor nerwowo zacisnął szczęki. — Proszę mi wybaczyć, że będę rozumował może zbyt prymitywnie. To skutek moich ostatnich przejść i szpitalnej izolacji.

— Będziemy wyrozumiali — zapewnił go Krogulecki, zadowolony

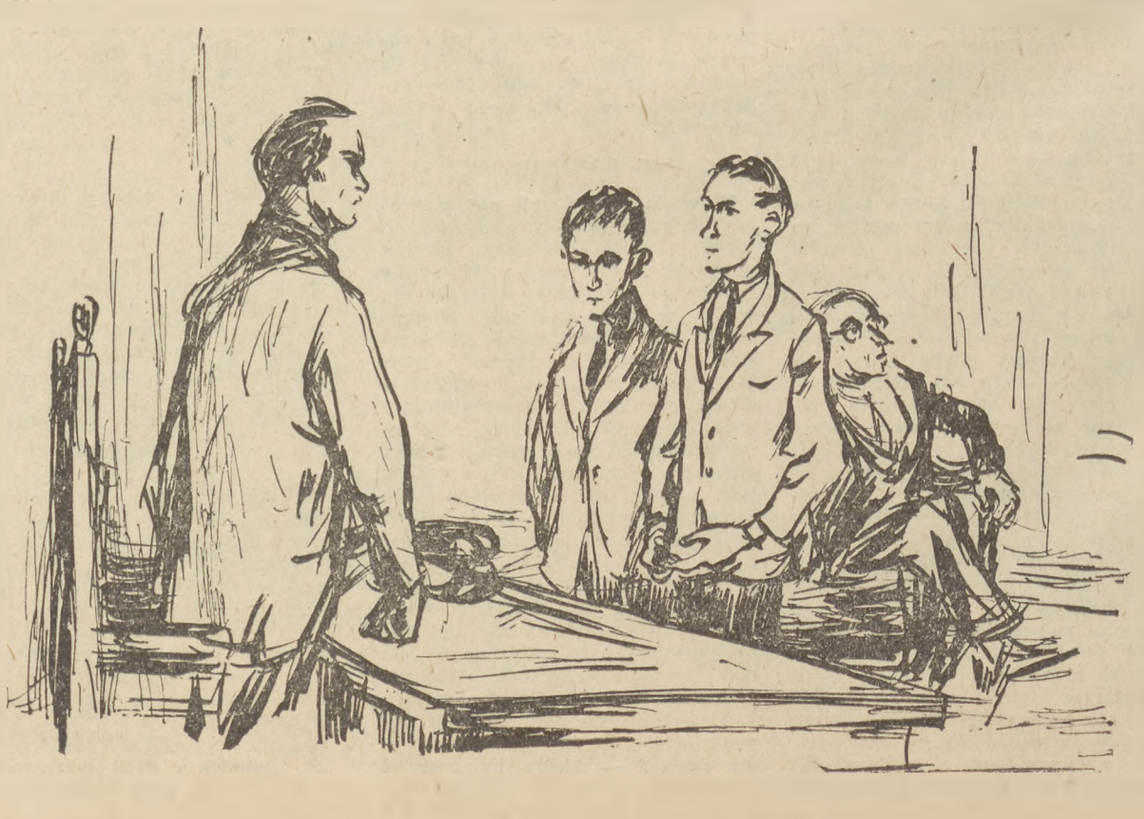

ZOFIA LINDORFÓWNA

On mnie

Parę pokoleń wzrastało w legendzie o Ludwiku Solskim. Legenda ta docierała nawet do najdalszych zakątków Polski, budząc w młodzieży pragnienie zobaczenia na scenie tego Mistrza, o którym tyle opowiadali starsi.

A opowiadań było bez liku, jeszcze z wczesnych lat krakowskiej kariery artystycznej Solskiego, przekazywanych we wspomnieniach następnym generacjom:

Dyrektor sceny krakowskiej, zawdzięczającej Mu długoletnie i piękne osiągnięcia w trudnej, a wzniosłej sztuce teatralnej;

Reżyser wielu niezapomnianych widowisk, na które zza „kordonu" przyjeżdżali wytęsknieni polskości ludzie, aby w nabożnym skupieniu chłonąć zakazane słowa arcydzieł rodzimej literatury dramatycznej;

Aktor, który wcielił się w setki postaci scenicznych z prawdziwą maestrią, zawsze inny, twórczy, interesujący, odkrywczy.

Potem — Warszawa. Znów: aktor, reżyser, dyrektor... i coraz większa gloria wokół Jego nazwiska! — Snuła się więc legenda wzbogacana wciąż nowymi i nowymi sukcesami Ludwika Solskiego.

Echa ich dotarły i do mojego dzieciństwa. Po raz pierwszy zobaczyłam Ludwika Solskiego — jako uczennica gimnazjum im. Marii Konopnickiej — na scenie Teatru Polskiego w Warszawie, w sztuce K. H. Rozworowskiego „Judasz", w roli tytułowej. Czternastoletnia dziewczyna nie była w stanie ogarnąć całego mistrzostwa tej kreacji, ale uderzyła w nią i urzekła — potęga talentu, prawda przeżycia, wstrząsnął wspaniale odtworzony Człowiek. Zapamiętałam tę rolę na zawsze. Kiedy w parę lat później Ludwik Solski, mój pierwszy dyrektor, angażował mnie na warszawską scenę, korzyłam się przed majestatem Jego wielkości, drżąc z emocji, że dane mi jest mówić z Nim, uścisnąć Mu szczupłą, nerwową rękę... Tę mocną, ale jakże troskliwą rękę, która potem przez wiele lat kierowała mną i wprowadzała w trudne arkana gry scenicznej.

Ludwik Solski przez całe swoje życie był tytanem pracy. Twardy i wymagający wobec siebie samego — był taki sam wobec innych. Wszystkiemu podołał, wszędzie zdążył, wszędzie był: dwoił się i troił niemal, wszystko dostrzegł i zauważył, nic nie uszło Jego bystremu oku. Człowiek niezwykłej energii, rzadkiego zmysłu organizacyjnego, niespotykanej wytrzymałości fizycznej. Był — fenomenem!

Dla młodych adeptów sztuki teatralnej nie mogło być lepszego i wnikliwszego nauczyciela, który nie teoretyzował, nie nudził, ale praktycznie uczył żmudnego abecadła scenicznego. Srogi, ostry, często nieubłagany, ale zawsze szczerze życzliwy, dążący nade wszystko do harmonii w sztuce, do ideału, pragnący za wszelką cenę, za każdą ofiarę stworzyć doskonałą całość przedstawienia. Jego uwagi i wskazówki były nieomylne. Wczuwał się znakomicie zarówno w duszę młodego chłopca, jak i w duszę młodej dziewczyny: skromnisi, czy awanturnicy, wielkiej damy z epoki rococo, czy też kobiety z ludu.

Jego informacje dla młodych były bezcenne. Jemu to tysiące aktorek i aktorów zawdzięczają bezbłędne władanie scenicznym rzemiosłem. Uczył gestu i dźwięku, pięknego, polskiego słowa, uczył debiutantów chodzić po deskach sceny i nosić kostium stylowy, uczył... Ach, czego On nie uczył?!! Śpiewać i tańczyć a gdy trzeba było — skakać i fikać koziołki! Charakteryzacji, grzeczności, posłuchu i obowiązkowości w pracy. Trzymał nas krótko, jak wojsko: w ryzach. Wojsko to z gorącym entuzjazmem i uwielbieniem było wpatrzone w swego Wodza. A był to wódz znamienity. Dalekowzroczny, dbały i czujny!! Nigdy nie żałował swego wysiłku dla teatru i innym nie dał leniuchować. Toteż napracowaliśmy się przy Nim solidnie! Kochaliśmy Go i szanowali, bojąc się Go wprawdzie, ale i ufając Mu bezgranicznie, wiedząc niezachwianie, że choć w twardym nas wędzidle prowadzi, ale skrzywdzić nie da.

Był najwspanialszym przykładem, niedoścignionym wzorem jako Artysta i Człowiek pracy, ale był też naszym oparciem, pociechą w troskach, w załamaniach artystycznych, w szarpaninie scenicznych zmagań, w trudnych początkach.

Nas, aktorów, uczył sztuki aktorskiej ale poza nami uczył wszystkich ludzi teatru: elektrotechników, rekwizytorów, meblarzy, modelatorów, krawców, maszynistów, nikomu nie szczędził cennych uwag, lub... beształ, gdyż nie było rzemiosła w teatrze, na którym by się nie znał. Poprawiał projekty dekoratorów, musztrował administrację. Żżymali się może nieraz, ale bez szemrania przyjmowali Jego słowa, gdyż wszyscy wiedzieli zbyt dobrze, że to jest dla d o b r a teatru, którym przecież wszyscy zgodnie byli zaczadzeni bez opamiętania, z samym Ludwikiem Solskim na czele. W Nim właśnie była ta nigdy nieugaszona pasja teatru, którą wszystkich zarażał! Toteż teatr wówczas pulsował, tętnił zarem, pracą — i promieniował ambitnymi osiągnięciami. Ocierał się człowiek codziennie o mistrzów nad mistrze sceny polskiej: Ludwik Solski, Mieczysław Frenkiel, Kazimierz Kamiński, Irena Solska, Ordon-Sosnowska, Felicja Pichor, Maria Przybyłko-Potocka, Mieczysława Ćwiklińska, Maria Dulęba, i o wielką „Piątkę", z której każdy też terminował u Solskiego, zanim stał się chlubą teatru: Kazimierz Junosza-Stępowski, Józef Węgrzyn, Stefan Jaracz, Juliusz Osterwa, Jerzy Leszczyński. Było się na kim wzorować i kogo uwielbiać!

U Solskiego w teatrze panowała atmosfera głębokiego poszanowania dla starszych kolegów, dla ich błyszczących nazwisk, których dorobili się swymi wielkimi talentami, ogromem pracy, długimi latami trudu scenicznego.

Służba sztuce... Dla nas, młodych, wówczas wstępujących na tę drogę, było to pojęcie szczytne, słowa magiczne, w których zamykał się młodzieńczy entuzjazm i gorące umiłowanie swego zawodu. Byliśmy skromni, lękliwi, nieśmiali, ale pełni nadziei i wiary w swe siły. To nam zaszczepił Ludwik Solski!

uczył sztuki

Wspomnienia o Ludwiku Solskim

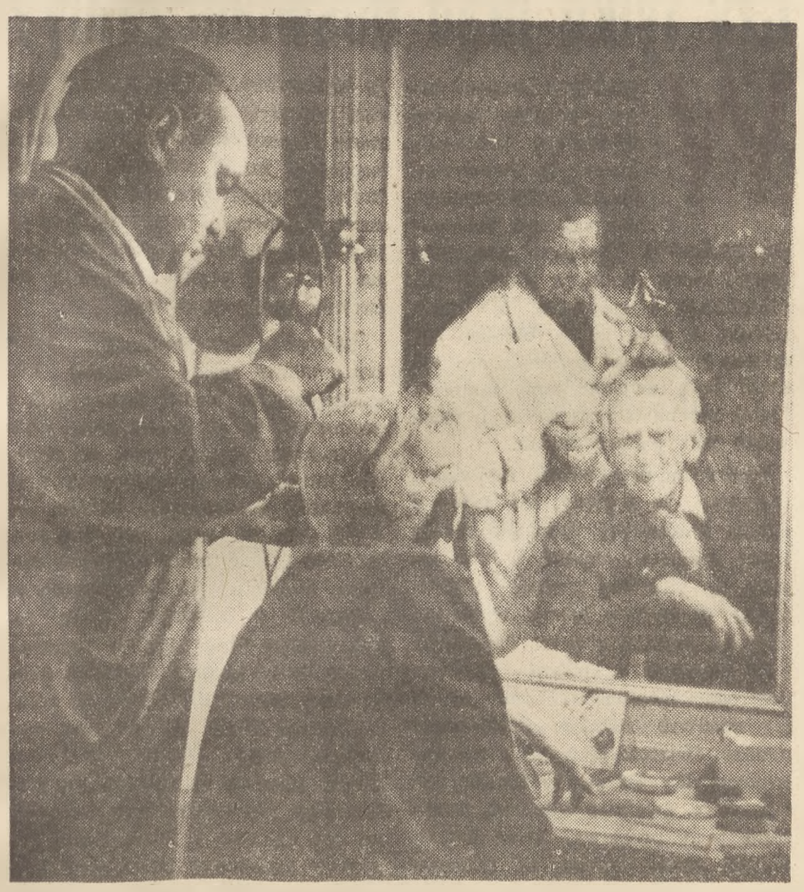

Przez wiele lat pracowałam z Solskim w przedwojennym warszawskim Teatrze Narodowym, pod Jego dwukrotną paroletnią dyrekcją, grając wiele sztuk w Jego reżyserii i mając szczęście częstego obcowania z Nim na scenie. Jedną z pierwszych sztuk w mojej karierze artystycznej był „Skąpiec" Molière'a, z Ludwikiem Solskim w roli Harpagona. Jest to jedna z najsłynniejszych ról Mistrza. Był w niej przerażającym, drapieżnym starcem, chciwym, pożądliwym kutwą, dręczycielem domowników, opętanym sknerą z trzepocącym się w nim nędznym sercem tchórza. Tyran dla własnych dzieci, nieufny i podejrzliwy, żałosny strzęp człowieka. Straszny w pokazanej plastycznie i realistycznie prawdzie o człowieku... W sztuce tej swatka Frozyna wróży Harpagonowi z ręki, wołając z podziwem: „Co za linia życia! Dożyjesz pan stu dwudziestu lat!" Choć Hetman aktorstwa polskiego doczekał się wyjątkowego wieku i w zdumiewająco świetnej formie, niestety ta wróżba sprzed lat — w całości nie spełniła się!...

Później grałam z Solskim w „Dożywociu" Fredry, gdzie Mistrz ukazał znów prześwietnego Łatkę, tworząc postać na wskroś artystyczną, głęboko odczutą.

Dalej, wystudiowana w najdrobniejszych szczegółach, tytułowa rola Fryderyka Wielkiego w sztuce A. Nowaczyńskiego. Grając Kunegundę von Gotzkowsky wpatrywałam się z bliska w szczytne mistrzostwo tej kreacji, w ten portret pokazany z taką grozą i z taką prawdą! Stojąc za kulisami chłonęłam każde słowo, rozszerzonymi zachwytem oczami obserwując dwóch potentatów teatru, rozgrywających swą wielką scenę: Ludwika Solskiego jako Fryderyka i — Stefana Jaracza jako generała von Zittena!

W innej sztuce A. Nowaczyńskiego, wystawionej w kilka lat później również na scenie Teatru Narodowego, w „Wiośnie narodów w cichym zakątku", Ludwik Solski grał austriackiego generała, mówiącego trzy czwarte swej roli po niemiecku, wyśmienitym akcentem, a Józef Węgrzyn grał jaskrawo charakterystyczną rolę Czecha, feldfebla Nedostala, mówiąc lwią część swej roli — po czesku. Kulminacyjna scena w sztuce między nimi dwoma była fajerwerkiem kunsztu aktorskiego! Solski grał pasjonata, Węgrzyn poczciwego wojskowego „ofermę". Krótkie spięcia w ich dialogu scenicznym, mówionym dwoma obcymi językami, były szczytem humoru i komizmu, którym szczodrze szafowali ci dwaj arcymistrze.

A Chudogęba Solskiego w szekspirowskim „Wieczorze trzech króli"?!! Groteskowy w każdym rysie, zarówno w grze gęsto przetykanej falsetowym, koloraturowym krótkim śmiechem, jak i w prześlicznym, zabawnym rysunku zewnętrznym. Pyszny!!!

„Pana Jowialskiego" Fredry graliśmy niezliczoną ilość razy, gdyż sztuka ta była wielekroć wznawiana w różnych okresach czasu i na różne okazje, osiągając rekordowe powodzenie. Jeździliśmy z nią także na gościnne występy do Wilna, Łodzi i Krakowa całym zespołem (Mieczysława Ćwiklińska, Halina Mogilnicka, Zofia Lindorfówna, Ludwik Solski, Mieczysław Frenkiel, Józef Węgrzyn, Jan Kurnakowicz, Tadeusz Frenkiel). Któż nie pamięta rumianego staruszka, rozchichotanego i skorego do żartów, sypiącego bajeczkami i tak uroczo wdzięczącego się do swego „echa", do swej żoneczki Małgosi, wpatrzonej w niego, jak w tęczę?!! Ta rozkoszna rola Solskiego chwytała każdego za serce!

„Wesele" — Stanisława Wyspiańskiego było wydarzeniem w naszym życiu teatralnym. Reżyserował sztukę Ludwik Solski, opierając się wiernie na wskazówkach autora, z którym ongiś współpracował w Krakowie. Sam grał Gospodarza. „...Ach, ta chata rozśpiewana!..." Trudno mi pisać o tym przedstawieniu bez głębokiego wzruszenia... Cóż to za przeżycie! Wielkie artystyczne przeżycie!!! Nastrój, jaki Solski wydobył w tej sztuce — był niepowtarzalny! — Duch Wyspiańskiego jakby błądził po kulisach, snuł się między tonami rzępolącej wiejskiej muzyki, migotał w świetle świec, stojących pośrodku stołu, na scenie błąkał się między krakowskimi strojami, czerwonym szalem Racheli, miejskimi surdutami i sukieneczkami panienek, a nade wszystko szeleścił pośród mar, zjaw i widm... — Drgało czymś niezwykłym w powietrzu, czymś wzniosłym... Przed pierwszym aktem, w półmroku sceny, gdzie bieliła się niewyraźnie rzeźba, wyobrażająca głowę Stanisława Wyspiańskiego — Józef Węgrzyn mówił wiersz Wyspiańskiego: „Wesoły jestem, wesoły — i śmieję się do łez"... — Wszystko to było dziełem Solskiego, jak i Jego dziełem była obsada tej sztuki. Wymienię tutaj niektóre ważniejsze role, w kolejności afisza: Gospodarz — Ludwik Solski, Gospodyni — L. Pancewicz-Leszczyńska, Panna Młoda — Maria Malicka, Pan Młody — Jerzy Leszczyński, Dziennikarz — Antoni Różycki, Poeta — Zbigniew Ziembiński, Nos — Kazimierz Junosza-Stępowski, Maryna — J. Macherska, Zosia — K. Skalska, Haneczka — Alina Żeliska, Czepiec — Fr. Dominiak, Klimina — Janina Janecka, Jasiek — Stefan Hnydziński, Wojtek — M. Wyrzykowski, Kuba — Jan Ciecierski, Żyd — J. Zejdowski, Rachel — Zofia Lindorfówna, Widmo — Zbigniew Sawan, Stańczyk — Józef Węgrzyn, Rycerz Czarny — G. Buszyński. Urzekająca poezja była w tym przedstawieniu, w atmosferze sztuki, w całym teatrze!...

Na parę lat przed wybuchem światowej wojny 1939 roku — znów jedna z wielkich premier Teatru Narodowego: „Don Karlos" — Fryderyka Schillera, w nowym, przepięknym tłumaczeniu K. Iłłakowiczówny. Ludwik Solski gra Filipa, króla Hiszpanii. Gra go wspaniale, mimo bardzo już podeszłego wieku. Sceny dynamiczne, sceny pełne ekspresji — gra porywająco! Nagle, na premierze, po drugim, bardzo dla Niego forsownym akcie — Mistrz zasłabł! Panika za kulisami!! Przyjeżdża lekarz i żona, pani Anna Solska. Jesteśmy wszyscy przerażeni! My, grający: Maria Malicka, Józef Węgrzyn, Juliusz Osterwa i ja, zbiliśmy się w gromadkę obserwując z lękiem leżącego na sofie Dyrektora. Antrakt przeciąga się nadmiernie, widownia wypełniona po brzegi — zaczyna się niepokoić. Co robić? Przerwać przedstawienie? Kiedy tak wymieniamy szepty, nagle nasz Dyrektor otwiera zwolna oczy i — jeszcze słabym głosem — woła krawca, aby Go przebierał do następnego aktu!... Nam oznajmia, że będzie dalej grać! I grał! I jak grał! Ten Tytan, ten Fenomen!! Kiedy po trzecim akcie, bardzo osłabiony, oparł się podczas braw na ramieniu Józefa Węgrzyna, grającego Markiza Pozę, ten, wzruszony bardzo — pochwycił dłoń mistrza i ucałował ją gorąco. Solski, również wzruszony — objął go za szyję i uściskał. Wybuchła burza oklasków, której nie podobna było uspokoić! Tak stali obaj na scenie, ci potentaci teatru: Nauczyciel i dawny Uczeń, w chwale sławy i w uwielbieniu publiczności.

Pamiętam też próby ze sztuki Stanisława Przybyszewskiego „Mściciel", którą reżyserował Dyrektor Solski. Znakomity literat, ówczesny prezes Teatrow Miejskich — Jan Lorentowicz — siedział w pierwszym rzędzie na pustej widowni, gładząc charakterystycznym ruchem krótką bródkę... Po scenie miotali się między aktorami — Przybyszewski i Solski... Wszyscy trzej starsi panowie wtrącali swe uwagi, częstokroć sprzeczne ze sobą, nie mogąc dojść do porozumienia. Aktorzy denerwowali się, aktorki nawet popłakiwały po kątach, nie wiedząc jak wybrnąć z tych opresji... Wtedy było to pewno dość męczące, dziś — ta Trójka — to historia. Jakże dumna się czuję, że danym mi było zetknąć się z tymi ludźmi, z takimi indywidualnościami! Stawiać przy Nich pierwsze kroki, przysłuchiwać się Ich dyskusjom, uczyć się od Nich!

„Wspomnienia — za czyją sprawą po tylu latach wracacie?!..." — mówi Zorilla ustami Don Juana.

Oto — moje wspomnienia wróciły za sprawą nieubłaganej śmierci, która 19 grudnia 1954 roku — zabrała nam Ludwika Solskiego.

Choć dożył setki lat, choć tylu umiera młodych i młodszych od Niego, serce kurczy się w bólu, że zabrakło Go między nami. Tego Hetmana aktorstwa polskiego, zaszczyconego najwyższymi odznaczeniami państwowymi, tego jedynego Aktora promowanego na Doctora Honoris Causa najstarszej uczelni polskiej: Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Epokę, całe stulecie zamknięto w tej niewielkiej dębowej trumnie, okrytej biało-czerwonym sztandarem, którą odprowadzały na miejsce wiecznego spoczynku niezliczone tłumy ludzi.

W ciszy i skupieniu przesuwały się szeregami niekończące się delegacje wszystkich teatrów w Polsce, między prastarymi murami Krakowa. Mury miasta, które Solski tak ukochał, żegnały Go po raz ostatni swą piękną architekturą w ten wysłoneczniony ranek grudniowy, a hejnał krakowski ostatni raz odezwał się nad Jego trumną przy wnoszeniu Go na Skałkę.

Ciężko nam wszystkim, tym spod chorągwi Ludwika Solskiego — rozstać się z Nim na zawsze! Dumni z Niego — składamy Mu olbrzymi wieniec naszych wdzięcznych serc.

Spoczął w krypcie na Skałce między zasłużonymi, jako ostatni, obok Stanisława Wyspiańskiego. Może szepnie mu przez wieko trumienne: „Zwiodła mnie tu jedna chmurka... jedna mgła"... Może uścisną sobie dłonie Ci dwaj, co ukochali swój Naród i — Sztukę!...

---

z udanego manewru ze Stolarczykiem.

— Może ustalimy sobie wpierw kilka podstawowych pojęć, żebyśmy uniknęli nieporozumień. Dobrze? — zaproponował Jerzy.

— Proszę bardzo, jeżeli pan uważa, że to będzie pożyteczne — zgodził się rektor, a jednocześnie wymownie spojrzał na zegarek dając tym do zrozumienia, że już i tak zbyt wiele cennego czasu zajęła mu ta rozmowa.

— Czy zgadzamy się wszyscy, że artykuł, o który nam chodzi, skierowany był przeciwko tym profesorom naszego uniwersytetu, którzy głoszą z katedr wsteczne, reakcyjne teorie naukowe, godzące pośrednio lub bezpośrednio w nasze demokratyczne reformy i zdobycze? — Barenda wolno wyrecytował całe zdanie, skandując niemal poszczególne słowa.

— Chy... chyba tak — przytaknął niepewnie Stolarczyk patrząc pytająco na rektora.

Krogulecki ściągnął brwi i przymrużył oczy w zamyśleniu.

— Wiem do czego pan zmierza — powiedział po chwili milczenia wlepiając w twarz Jerzego kłujące spojrzenie. — Chce mi pan udowodnić, że stając w obronie zaatakowanych kolegów akceptuję ich ideologię. Czy tak?

— Mniej więcej o to mi chodziło — przyznał się Jerzy trochę zbity z tropu domyślnością rektora.

— No to cieszę się, że panu ułatwiłem dochodzenie — Krogulecki roześmiał się hałaśliwie i wstał z fotela. Przeszedł się parę razy wzdłuż długiego dywanu rozpostartego między drzwiami i biurkiem i zaczął mówić uśmiechając się nieznacznie kącikami wąskich, bladych warg:

— Chce pan, byśmy sprecyzowali nasze stanowiska? Dobrze, zgadzam się. Panu się wydaje, że ja bronię Nierojewskiego, Łysogórskiego. Hilszera i innych idealistów? Nic podobnego, Boże uchowaj. Wie pan przecież dobrze, że zarówno w swojej praktyce naukowej, jak i w kwestii zagadnień społeczno - politycznych doby dzisiejszej hołduję zgoła innym zasadom niż oni.

— Dlaczego więc...

— Dlaczego chcę ukarać tych studentów? Właśnie dla zasady. Czy pan sobie wyobraża, co stanie się z naszymi uniwersytetami, jeżeli studenci zaczną nam dyktować konspekty do wykładów, a gazety będą denuncjować każde nieoględne słowo profesora jako akt wrogi godzący w nasz ustrój?

— To znaczy, że mamy pozwolić na to, by katedry uniwersyteckie stały się bastionami wrogiej politycznej propagandy, by profesorowie demoralizowali naszą najlepszą młodzież, by kształtowali umysły studentów tak, jak im się podoba? Nie, panie rektorze, tak łatwo my nie zrezygnujemy ze zdobyczy naszej rewolucji. — Pomimo że Jerzy starał się mówić jak najspokojniej, w głosie jego przebijało zdenerwowanie.

— Mam wrażenie, że my się znowu nie rozumiemy — Krogulecki usiadł naprzeciw Barendy i wsparł na stole swoje kościste dłonie o długich, nerwowo poruszających się palcach. — Ja nie występuje przeciwko słuszności i potrzebie walki ideologicznej, lecz przeciw niedopuszczalnej wulgaryzacji i spłycaniu jej metod. Profesorów nigdy nie przekona głos studenta-nieuka. Z Nierojewskim może polemizować tylko człowiek co najmniej tak mądry jak on. Artykuły Wójcików, Żaków i im podobnych nadgorliwców mogą tylko wywołać oburzenie i rozgoryczenie. W swojej obiektywnej wymowie stają się one napadami na cały uniwersytet, podrywają jego autorytet i plamią dobre imię. Rozumie pan więc, że ja jako rektor nie mogę na to pozwolić.

— I mnie się tak zdaje. Obowiązkiem rektora... — wtrącił się milczący dotąd Stolarczyk.

Jerzy spojrzał na niego z ukosa i przygryzł wargi. Lecz w tym momencie przyszła mu do głowy szczęśliwa myśl.

— I ja jestem również tego zdania — przejął ton Stolarczyka — że byłoby o wiele pomyślniejszym rozwiązaniem sprawy, gdyby pan rektor sam skrytykował w prasie Nierojewskiego. Pański autorytet, pańska rzeczowa argumentacja, pański takt polityczny dałyby na pewno znakomite rezultaty. I nikt by o to nie mógł mieć do pana pretensji, i honor uniwersytetu pozostałby nienaruszony. Bardzo panu jesteśmy wdzięczni za tę gotowość. Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia w tej sprawie.

Krogulecki w jednej chwili zmienił się na twarzy. Na skroniach pojawiły mu się sinawe plamy, usta rozdziawił jak szczupak wyrzucony z wody na piasek.

— Pan kpi czy o drogę pyta? — wykrzyknął czepiając się rozczapierzonymi palcami brzegu stołu.

— Pytam o drogę — odpowiedział Jerzy wytrzymując jego spojrzenie bez zmrużenia powiek.

Krogulecki zerwał się z krzesła.

— Tam jest pańska droga — wyrzucił rękę w stronę drzwi.

Barenda w milczeniu sięgnął po kule i z wysiłkiem podniósł się z fotela. Wspierając się na drewnianych podpórkach zrobił kilka niepewnych kroków w kierunku wyjścia. Podbiegł do niego Stolarczyk i niezręcznie próbował go podtrzymać za ramię.

Rektor stał ciągle w posągowej pozie z wyciągniętą przed siebie ręką. Lecz jego nagły gniew szybko wygasał. Gdy Jerzy doszedł do drzwi, Krogulecki już żałował swego wybuchu.

— Poczekaj pan, panie Barenda — zawołał zupełnie innym, łagodnym tonem. — Niech się pan nie obraża. Pan wie przecież, że ze mnie stary wariat. Wystarczy, by mnie ugryzła jakaś pchła, a już wpadam w furię — zbliżył się do Jerzego z rozpostartymi ramionami, jakby go chciał uściskać.

Barenda odwrócił się od drzwi i stał patrząc na rektora wyczekująco.

— Czy pan to mówił poważnie, że ja miałbym dyskutować z Nierojewskim? Bo mnie się zdawało, że pan ze mnie kpi. A ja nie lubię, kiedy ktoś ze mnie robi idiotę.

— Przecież sam pan mówił, panie rektorze, że z profesorami powinni polemizować profesorowie. Dlaczego właśnie pan nie miałby napisać jakiegoś artykułu do „Myśli Współczesnej" czy „Kuźnicy"? Przy pańskich zainteresowaniach historią i...

— „I polityką", chciał pan pewnie powiedzieć? — Krogulecki swoim zwyczajem nie dał Jerzemu dokończyć napoczętego zdania. — Niech pan mnie nie bierze pod włos, kochany panie sekretarzu. — Ze mnie trochę chytrzejszy lis jak z pana. Pan by chciał przy jednym ogniu upiec od razu dwie pieczenie? To trochę za wiele.

— Chodzi mi tylko o tych biednych chłopców, na których pan się uwziął nie wiadomo czemu — odpowiedział Jerzy.

— Na nikogo ja się nie uwziąłem, kochasiu — Krogulecki poklepał go poufale po ramieniu i wyszczerzył pożółkłe, rzadkie zęby. — Nie taki ja jestem straszny jak mnie malują. Chciałem nauczyć rozumu tych, tych... mądrali, ale jeżeli pan ich aż tak mocno broni, to chyba... chyba będę im musiał tym razem przebaczyć.

Stolarczyk, który śledził w wielkim napięciu spór Barendy z Krogulecki i z niepokojem oczekiwał jego wyniku, odetchnął z ulgą.

— Ja zawsze mówiłem, że pan rektor ma gołębie serce — odezwał się, przypochlebnie przysuwając się do Krogulecki.

— Ale pazury wilka? — zaśmiał się rubasznie rektor i wyciągnął w stronę Barendy swoje kościste dłonie.

Jerzy chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zrozumiał, że gest rektora oznaczał koniec audiencji. Bąknął więc tylko „dziękuję" i uścisnąwszy rękę Krogulecki wyszedł z gabinetu. Za nim wysunął się Stolarczyk.

W przedpokoju siedzieli na krzesłach Wójcik, Myszka i Ciećko. Wszyscy trzej mieli dość smętne miny.

— No chłopcy, cieszcie się — powiedział Stolarczyk podtrzymując Barendę za ramię. — Obroniliśmy was... to znaczy... partia was obroniła — poprawił się zaraz podchwyciwszy zimne, wzgardliwe spojrzenie Jerzego.

EDWARD HOŁDA

Małgosi

Nocą cisza, cisza, a rankiem
zorza dzwoni w niebieskie tympanum,

bije dłońmi różanymi w niebiosa,
wierzbom gubi diamenty we włosach,

złoci lotów jaskółczych gotyk,
budzi serca drzemiących stokrotek,

głogi muska, rozdźwięcza konwalie,
tryska wyżej, rozlewa się dalej,

aż na ciebie trafia. I przystaje.
I jak siostrze dłonie ci podaje.

Do sentymentalnych

Wróg się nie zawaha, nie rozkliwi,
on jest płatny w judaszowym srebrze.

Wróg w obcęgi serce chwyci i wykrzywi,
chleb zatruje, rodzinę rozedrze.

Wróg ma bulle, przywabia nadzieją,
plącze ścieżki, osacza samotnych,
chyba na nich tak, jak nad Koreą
czyhał z nieba faszystowski lotnik.

Wróg jest miły, serdeczny, jowialny,
raj dla bliźnych sadzi w złotej dali.

Do was mówię, do sentymentalnych,
byście później łez nie wylewali.

Romantyczność

To nie twoja wina, nie jej, nie wasza,
trudno, fatum, kismet, wyrok boski.

Księżyc na was swoje skarby rozprasza,
na balkony, ptaki, kwiaty brzoskwiń.
Wam jest w życiu księżycowo, na razie,
mała czarna, duży snobizm, rumba negro,
włosy, usta delikatne jak bazie,
aż po kres, aż się dłonie rozbiegną,
aż się spojrzeń koraliki rozsypią,
aż wygasną nocnych blasków bukiety,
aż się drzewa w nagłej pustce rozskrzypią,
nikt nie winien, nie ona i nie ty.

Nikt nie winien, pękła płyta z przebojem,
trudno, fatum, właśnie wyrok, właśnie kismet.

Romantyczne, bujne serce twoje,
niezgłębione, biedne, do dna wyschłe.

Niedziela

Znad blachy zielny wywar,
brzęknie jakaś pokrywa,
siostra talerze zmywa.

Z gwoździa się szczerzy tarka,
bulgoce woda w garnkach,
uwija się kucharka.

Od pieca blaski płowe,
matka pochyla głowę
nad tomem Orzeszkowej.

Jak w każdą z takich niedziel,
gdy sprzątnie po obiedzie,
wstanie siostra, pojedzie.

Znowu uniwersytet,
zajedzie, nad zeszytem
skłoni myśli niesyte.

Reportaż z marginesu

Wychować dzieci kilkoro,
w domu? Nie, w błocie, na jeździe,
i jesienną, wyziębłą porą
znaleźć się, znaleźć się bez nich!

Oddać im siebie bez reszty,
wszystkie noce i dni niełatwe,
i trud ramion, i płacz tak częsty,
i to tylko mieć jako zapłatę!

Bo to pierwsze wywieźli Niemcy
do Kunstmühle gdzieś tam bei Ansbach,
i nie wróciło już więcej,
tam je śmierć, kuma junkrów, znalazła.

Bo plunęło na dom to drugie,
nim odeszło, nakrzywdziło nieraz,
zwiędła gałąź, żółta jak ugier,
którą wiatr obce kąty wyciera.

Bo to trzecie jest jeszcze słabe,
słabe, chwiejne jak młode zboże,
gdy wyrośnie, wadziłoby się z diablem,
lecz na razie nie może, nie może.

Bo to czwarte... Też marne to czwarte,
choć nie chyli głowy, chodzi prosto,
kolejami losu na miał starte,
siły zbiera, by się w kamień zrosnąć.

Wychować kilkoro, kilkoro,
żyć w udręce, po dziadowsku wyniośle
i, na koniec, zmarzłą, pustą porą
w pociąg wsiadać, odjeżdżać na oślep!

Co to jest? Traf? Przypadek? Margines?
Tuman żalu z serdecznego bezdna?

To ja jestem tym czwartym synem,
który matkę na dworcu żegna.

To ja jestem, czujący w tej chwili,
co przed nami jeszcze do przebycia,
by się ludzie nie łamali, nie martwili,
by im wszystkim sprawiedliwie od życia!

To ja jestem, czyniący przysięgę,
że przez budowanie, że przez pracę,
za matczyne smutki, za mordęgę
wrogim mocom się odpłacę... Odpłacę!

ŚWIATOPOGLĄD A NAUKA

Redakcja POPROSTU zwróciła się do szeregu uczonych z prośbą o wypowiedzenie się na temat wzajemnego stosunku nauki i światopoglądu. Wypowiedzi te wykazują w konkretnych przejawach poszczególnych nauk wyższość materialistycznej metody badawczej nad idealistyczną, wykazują, w jaki sposób na rozwój poznania naukowego wpływa pozycja światopoglądowa uczonego. Artykuły naszych wybitnych uczonych niewątpliwie pomogą młodzieży w trudzie zdobywania i pogłębiania naukowego światopoglądu.

Zamieszczamy dziś dwa pierwsze artykuły: „Czy tylko błąd doświadczalny?" i „Pogląd na świat a poznanie historii".

Prof. dr M. H. SEREJSKI
kierownik Zakładu Historii Historiografii IH PAN

Pogląd na świat a poznanie historii

Historia nie jest jakąś subiektywną, niekontrolowaną wizją przeszłości, lecz nauką zmierzającą do poznania tej przeszłości za pomocą określonych reguł postępowania, powszechnie sprawdzalnych i stosowalnych pod warunkiem fachowego przygotowania.

Do tych reguł należy umiejętne posługiwanie się materiałem badawczym, tj. źródłami historycznymi, ich odpowiednia „obróbka" i poprawne wnioskowanie przy użyciu różnych wypróbowanych metod badawczych o tym, co i jak się działo. Wszystkie te czynności, choć stanowią niezbędne przesłanki w poznaniu historycznym, nie są jednak jeszcze wystarczające w dochodzeniu prawdy o przeszłości. Czym bowiem jest poznanie minionej, nie dającej się wskrzesić rzeczywistości człowieka, która obiektywnie istniała, a o której wnioskujemy na podstawie pozostałych po niej śladów (tj. źródeł historycznych)? Czy opisem wszystkich zjawisk tej rzeczywistości, jakąś fotografią ogółu rzeczy i stosunków składających się na nią?

Gdybyśmy postawili sobie takie zadanie — niemożliwe zresztą do wykonania zarówno w stosunku do przeszłości jak i teraźniejszości — znaleźlibyśmy się w „bezdrożnym lesie", jak nazwał właśnie ówczesną historię jeden z filozofów greckich, żyjący w III wieku n.e. By się nie zgubić w tym gąszczu faktów, historycy, (a podobnie dzieje się i w innych naukach), posługują się jakimiś orientacyjnymi założeniami w swych poszukiwaniach, wychodząc z określonych punktów widzenia, z określonych kryteriów wyboru; nawiązują do nabytych już wiadomości, dokonują uogólnień, odwołują się do pewnych praw itp. Słowem, w poznaniu naukowym mamy do czynienia ze skomplikowanym procesem, w którym technika obróbki materiału, znajomość źródeł i umiejętność posługiwania się metodami przy ustalaniu i opisywaniu poszczególnych faktów nie wyczerpują jeszcze wszystkich czynności. Historyk zawsze — choć nie zawsze świadomie — posługiwał się i posługuje ogólnymi założeniami, ogólnymi poglądami na otaczającą go obiektywną rzeczywistość: na przyrodę i społeczeństwo. Inaczej mówiąc, gdy chce poznać, zrozumieć rzeczywistość społeczną, odwołuje się do jakiejś „filozofii", gdyż, jak to słusznie twierdzi M. Cornforth („W obronie filozofii", Warszawa 1952, str. 35), „każdy człowiek ma jakąś filozofię, chociażby się nawet nigdy nad nią nie zastanawiał. Każdy podlega wpływom poglądów filozoficznych, chociażby sam ani ich nie przemyślał, ani nawet nie umiał sformułować. Albowiem filozofia to nic innego, jak nasze najbardziej ogólne poglądy na istotę świata i nasze w nim miejsce — to nasz pogląd na świat".

Jak już z powyższego wynika, przeszłość może być różnie widziana i różnie wyjaśniana, interpretowana nie tylko dlatego, że się zmienia technika erudycyjna, doskonalą metody, rośnie materiał źródłowy, ale również i głównie dlatego, że wraz z rozwojem społecznym, zależnie od pozycji klasowej, narodowościowej, wyznaniowej, od stopnia rozwoju kultury itd. kształtuje się nasz pogląd na świat. Ten zaś w głównej mierze determinuje kierunek zainteresowań, problematykę historyczną, selekcję faktów, ich grupowanie, akcentowanie (bądź przemilczanie), ich interpretację. Stąd zrozumiałe jest, że nieraz tak samo kompetentni badacze, posługujący się tak samo precyzyjną metodą, inaczej przedstawiają te same procesy dziejowe. Wychodzą bowiem z innych założeń światopoglądowych, z innego np. pojmowania tego, co jest ważne, godne uwagi, charakterystyczne itd. Ale nawet najbardziej separujący się od praktyki, od życia bieżącego mnisi, piszący kroniki w swych celach klasztornych, jak i profesorowie zamykający się w swych pracowniach, z dala od gwaru życia i walki, by kontemplować przeszłość, jako „neutralni", „obiektywni" badacze, nie mogą obejść się bez jakiejś „filozofii" i bynajmniej nie są wolni od takiej czy innej postawy światopoglądowej.

W jakim jednak stopniu postawa ta oddziałuje na poznanie historyczne? Czy rozszerza i pogłębia naszą wiedzę o przeszłości, czy zbliża nas do zrozumienia procesu dziejowego, czy też przeciwnie — oddala od prawdy, zaciemnia nasze pole widzenia, zniekształca nasze ujęcie obiektywnej rzeczywistości? Słowem, czy sprzyja rozwojowi nauki, czy ją hamuje?

Nie kusząc się o rozwiązanie tego złożonego zagadnienia i z konieczności usuwając z naszego rozważania na ubocze cały splot współczynników — a między innymi żywiołowe zbliżanie się do prawdy w procesie poznania historycznego, spróbujemy na kilku przykładach zorientować się, jak określona pozycja światopoglądowa wpływała i wpływa na poznanie historyczne.

W tzw. Roczniku Kapitulnym Krakowskim dziejopis zapisał ok. 1000 roku dwa fakty, które w przekładzie polskim brzmią: **Dubrawka przybyła do Polski; Mieszko, książę polski chrzci się.** Gdybyśmy się zapytali, dlaczego te a nie inne wydarzenia zanotował, to odpowiedź brzmiałaby: „Bo uznał je za bardzo ważne, godne pamięci". Z kolei jednak, gdy zapytamy: Dlaczego uważał je za ważne, odpowiedzielibyśmy: „Dokonując selekcji spośród wielkiej ilości faktów, rocznikarz wybrał je zgodnie z kryterium ważności, wówczas obowiązującym w jego środowisku". Słowem, odwołalibyśmy się do panującego w nim ogólnego poglądu na świat, który określał jego rozumienie roli dziejowej monarchy, religii, związku pomiędzy chrystianizacją Polski i wpływem osobistym księżniczki Dubrawki na Mieszka itd.

Byłoby rzeczą nierozsądną biadolić nad „ograniczonością" naszego annalisty i wyrażać żal z tego powodu, że nie zanotował wielu innych i na pewno ważniejszych spraw, które rozgrywały się w ówczesnej Polsce. Raczej wdzięczni mu jesteśmy za to, że bądź co bądź przekazał nam niewątpliwe wiadomości i nie bez znaczenia, podczas gdy inny przecież rocznikarz akcentując to co uderzało wyobraźnię jako niezwykłe, nadprzyrodzone, cudowne pod r. 1270 uważał za wskazane zapisać: „Tegoż roku w ziemi śląskiej, koło Michałowa płynęła krew z nieba; był to zaś czas letni i ogromny upał owego dnia. Znowu pewna pani w Nakle urodziła w jednym porodzie 36 chłopców tak, że najpierw wydała na świat 15, a po niecałej godzinie resztę, którzy to chłopcy natychmiast pomarli".

I w jednym i w drugim wypadku pozycja światopoglądowa — feudalno-teologiczna, determinowała czy to wybór faktów, czy to stopień krytycyzmu autora, pole jego widzenia i samo „widzenie" rzeczywistości.

W miarę rozwoju dziejów kształtowały się nowe poglądy na świat.

Adam Naruszewicz w czasach polskiego Oświecenia inaczej już ujmuje dzieje ojczyste niż jego średniowieczni poprzednicy. Stawia sobie za zadanie przedstawić je z pomocą „ducha mądrości", ukazać nie tylko monarchów i panów feudalnych, czy świątobliwych mężów, ale i stosunki gospodarcze i różne warstwy społeczeństwa, ustrój polityczny, funkcjonowanie władzy państwowej itd.

Chęć nie realizuje w pełni swego zamierzenia — bo ogranicza jego zdolność poznawczą pozycja historiografa, związanego ze światopoglądem obozu dworskiego — to przecież w stosunku do dawniejszych kronikarzy posuwa on naprzód wiedzę historyczną. Szerzej widzi, głębiej i krytyczniej pojmuje dzieje, opiera się w swej „Historii narodu polskiego" na racjonalistyczno - empirycznych założeniach, krytykuje „przyśpiewki nadprzyrodzone" średniowiecznych kronikarzy jako „głośne trąby donoszące o fałszu całej opowieści". W nowym duchu interpretuje wydarzenia. Odrzuca tradycję jeśli przeczy ona prawom natury, jak to np. czyni omawiając odwrót Tatarów spod zamku wrocławskiego w r. 1240, rzekomo spowodowany ukazaniem się zesłanego przez opatrzność cudownego ognistego słupa: „Badacze natury i tajemnic twórczą ręką na użytki ludzkie sporządzone przypisują to zorzy północnej, której się dzicz lekkowierna ulękła, jako wpływów na zimny okrąg nadpowietrznych nieświadoma".

A oto inny przykład oddziaływania nowego, postępowego poglądu na świat, na stopień poznania historycznego: wielki polski mediewista Joachim Lelewel, wyznawca antyfeudalnej, demokratycznej ideologii — ten badacz zrywający zdecydowanie z teologiczno - feudalną tradycją w historii — wyjaśniał przeszłość „odwołując się do ludzkich działań i rozumem ludzkim pojętych", postulował, by historyk uwagę swą kierował nie na jednostki, ale na „tłumne zjawiska", by tłumaczył „ogólne widoki i sprężyny ludami kierujące", by sięgał do dziejów całego narodu, a zwłaszcza do ludu, bo „to cicha a żywotna siła, od której w każdym czasie zależą losy narodu i państwa". Toteż Lelewel potrafił odsłonić rolę szerokich mas, przedstawiał społeczne dzieje Polski, walkę klas toczącą się od początków feudalizmu, wyjaśniał głębsze przyczyny wydarzeń, ujmował przeszłość ojczystą jako jednolity proces rozwojowy i pomimo idealistycznego poglądu na świat, dokonał skoku naprzód w zbliżeniu się do prawdy historycznej.

Pozycja światopoglądowa Lelewela, podobnie jak innych historyków z okresu, gdy burżuazja jako klasa wstępująca zwalczała ideologię feudalną, zapładniała historię twórczą, odkrywczą myślą, znakomicie rozszerzała pole widzenia i pogłębiała rozumienie rzeczywistości społecznej. I coś z tego jeszcze pozostało u niektórych historyków burżuazyjnych w drugiej połowie XIX w., choć już wyrzekali się najbardziej postępowych tradycji przeszłości, a zwłaszcza idei rewolucji i walki klas. Podejmowali jeszcze wielkie problemy badawcze, szukali w dziejach działania sił społecznych, wierzyli w możność naukowego poznania obiektywnej rzeczywistości. Takie stanowisko zajmował np. w latach osiemdziesiątych ub. stulecia Tadeusz Korzon, który też w swym dziele o wewnętrznych dziejach Polski za St. Augusta potrafił — pomimo ograniczoności klasowej i wynikających stąd wypaczeń — poważnie rozszerzyć naszą wiedzę o stosunkach demograficznych, gospodarczych, społecznych itd. u schyłku dawnej rzeczypospolitej; ukazać wiele z procesu kryzysu feudalizmu i kształtowania się elementów kapitalizmu oraz nowego burżuazyjnego narodu w Polsce. Przeciwstawiając swój punkt widzenia W. Kalince, który nie umiał dostrzec nowego w starym i ograniczał się do wyłącznie politycznej historii, Korzon pisał: „Spotkaliśmy się w badaniach na jednej epoce, aleśmy patrzyli na społeczeństwo z dwu wielce różnych stanowisk, my z dołu, ksiądz Kalinka ze szczytów, z kancelarii dyplomatów, z tronu Stanisława Augusta". Nie ulega wątpliwości, że takie spojrzenie na dzieje umożliwiało Korzonowi dużo więcej dostrzec w badanej rzeczywistości, dużo nowego wydobyć z materiału źródłowego.

Jednakże i na nim z konieczności ciążył panujący światopogląd społeczeństwa klasowego, przez co nie doceniał roli mas, cofał się przed konsekwencjami poznania całej prawdy o społeczeństwie i prawach rządzących jego rozwojem. Te hamulce coraz silniej działają w XX w., gdy klasa rządząca i jej ustrój wchodzą w stadium schyłkowe. Światopogląd burżuazji z okresu, gdy staje się klasą zstępującą, kurczowo broniącą starego i niezdolną do prawdziwego postępu, coraz jaskrawiej odbija się na cofaniu się myśli naukowej. Pomimo dalszego rozwoju warsztatów pracy, techniki badań i rozszerzania materiału faktograficznego, u przeważającej części historyków widoczne jest zacieśnienie horyzontów myślenia, niezdolność do twórczego, odkrywczego spojrzenia na życie społeczne, wzrastający lęk przed prawdą i świadome jej wypaczanie. Stąd krzewiące się przyczynkarstwo, uprawiane bezkierunkowo i zaniechanie badania istoty rozwoju dziejowego. Na zjeździe krakowskim w roku 1900 Br. Dembiński twierdził: „Nauka historyczna uznaje z całą świadomością nieprzezwyciężone trudności, aby dojść do całokształtu dziejów, wykazać czy to plan natury, czy prawa natury rządzące życiem społecznym ignoramus". A inny historyk — W. Sobieski, choć formalnie nie rezygnował z uogólnień i szukania praw dziejowych, zastrzegał się, że „owa prawidłowość rozwoju nie jest niczym przedmiotowym, ale tylko kategorią naszego myślenia i pojmowania zjawisk", czyli inaczej mówiąc jest dowolną konstrukcją, nie zaś odzwierciedleniem obiektywnej rzeczywistości.

Coraz częściej też w pracach historycznych pisano o „twórczej woli jednostek", jako czynniku rozstrzygającym w dziejach, o „poczuciu dynastycznym", o różnych „duchach", metafizycznych ideach, o „fatalizmie przypadków", bądź wręcz: „Historia to splot nieprzewidzianych zgoła, nie dających się usystematyzować przypadków" (por. „Polska, jej dzieje i kultura", t. I, s. 556). W tych warunkach szeroko otwierano wrota irracjonalizmowi, subiektywistycznemu „przeżuwaniu" przeszłości przekreślając rzetelny wysiłek poznawczy. I znów historia zamieniała się w „bezdrożny las", i tylko nowy, postępowy światopogląd mógł przywrócić właściwe jej zadania, pchnąć ją na nowe tory rozwoju.

Materializm dialektyczny i historyczny, wyrażając najwyższy stopień świadomości społecznej, wolny od hamulców poznawczych społeczeństwa klasowego, oparty na najbogatszym doświadczeniu, pozwala historykom harmonijnie i świadomie powiązać światopogląd, teoretyczne założenia z konkretnymi zadaniami badawczymi. Usuwa dwoistość między poznaniem przyrody i życia społecznego, rozszerza i pogłębia pole widzenia, ułatwia selekcję tego, co ważne, istotne, umożliwia racjonalne wiązanie faktów i ich uogólnienia przez odwoływanie się do wykrywanych praw tkwiących w obiektywnej rzeczywistości.

Nowa nauka historyczna, która się obecnie rozwija, nie cofa się przed ambitnym dążeniem do możliwie adekwatnego poznania tej rzeczywistości. Stawia wielkie problemy i próbuje je rozwiązywać, stosując twórczo swą teorię.

Pamiętać jednak należy, że historycy wychodzący z nowej pozycji światopoglądowej tylko wówczas osiągają swe cele poznawcze, jeśli umieją poprawnie posługiwać się tym wszystkim, co wartościowego stworzyła nauka w zakresie techniki badań, umiejętności źródłoznawczej i metod ustalania faktów.

Najdoskonalszy światopogląd bez znajomości „rzemiosła" i bez twórczej pasji odkrywczej, bez rzetelnego stosunku do wiedzy nie stwarza jeszcze historyka i nieraz prowadzi go na manowce dowolnych konstrukcji i schematów. Natomiast w dobrym warsztacie pracy, rozświetlonym materialistyczną filozofią, przezwyciężone zostaną największe trudności w poznaniu obiektywnej rzeczywistości historycznej.

Prof. dr S. A. PIENIĄŻEK
członek-korespondent PAN

Czy tylko błąd doświadczalny?

W praktyce swojego życia bardzo rzadko widziałem uczonych, którzy by świadomie bronili idealistycznego podejścia do pracy naukowej. Ogromna większość pracowników nauki, z którymi się spotykałem i spotykam, to materialiści, z tym, że w bliższej lub dalszej przeszłości przeważająca ich część była zwolennikami materializmu mechanistycznego a i teraz wielu jest jeszcze takich.

Typowym przykładem człowieka, szerzącego te poglądy, był jeden z moich profesorów fizjologii roślin, który specjalnie wpajał w nas zasadę, że wszelkie procesy fizjologiczne w roślinie można wytłumaczyć na podstawie praw fizycznych i chemicznych, którym podlega przyroda martwa. Innymi słowy nie uznawał różnicy jakościowej między światem żywym i nieożywionym. Uważał się za bardzo postępowego, zwalczał witalizm, wszystkie jego przejawy, przez co w swoim czasie bardzo mi imponował.

Materializm mechanistyczny, przejawiający się w metafizycznej metodzie badania, uważam za najbardziej niebezpieczne skrzywienie światopoglądowe. Jest on bardziej niebezpieczny od czystego idealizmu (do którego się zresztą najczęściej stacza), bo czysty idealizm wśród ludzi obdarzonych przeciętnym nawet rozsądkiem nie znajduje wielu zwolenników.

Przejdę teraz do przykładów z mojej dziedziny. Przed wojną sadownictwo jako nauka nie istniało w Polsce prawie wcale. Po wyzwoleniu zaczęło się rozwijać bardzo gwałtownie, trzeba było stworzyć plan badań naukowych. Zaczęły się zebrania, zjazdy, dyskusje. Trwały one bardzo długo, zanim wykrystalizowały się właściwe kierunki prac naukowych. W tych dyskusjach z niezwykłą ostrością ujawnił się brak filozoficznego przygotowania pracowników nauki, ich nawyki do metafizycznej metody badania. Większość planów prac polegała na tym: „Posadzimy drzewa i będziemy je badać i obserwować". Najczęściej nie można było domyślić się, po co te drzewa chcieli sadzić i co chcieli badać. Poza tymi zamiarami nie było widać hipotezy roboczej. Nie było rozróżnienia między rzeczami ważnymi i nieważnymi.

Do roku 1948 nie mógłbym się nazwać marksistą z całą świadomością tego słowa. Właściwe miejsce w walce klasowej w czasach mych studiów uniwersyteckich (1933 — 1938) wyznaczyło mi raczej uczucie niż rozum. Stało się to w czasie napadu generała Franco na Republikę Hiszpańską i rozpaczliwych chłopskich strajków w Małopolsce. W tych czasach brałem udział w marksistowskich kółkach samokształceniowych, które zapoznały mnie, pobieżnie przynajmniej, z materializmem dialektycznym. Wystarczyło to jednak, żeby od tego czasu innymi oczyma spoglądać na świat, a między innymi i na metody pracy naukowej.

Nieraz przypominam sobie wspomniane wyżej dyskusje nad zamierzeniami badań naukowych i zestawiam je z dyskusjami, jakie na podobne tematy toczą się obecnie wśród młodego pokolenia pracowników naukowych, którzy od kilku już lat uczą się filozofii. Istnieje między nimi ogromna różnica. Nie chcę tu przeciwstawiać „starych" i młodych". Taką samą różnicę obserwuję w rozumowaniu wielu spośród starszych naukowców, którzy błąkali się po omacku przed kilku laty, a teraz wykazują dużą jasność myślenia. Wtedy zdawało mi się, że nie zrozumiemy się nigdy, teraz możemy się nie zgadzać w szczegółach, ale sprawy zasadnicze pojmujemy jednoznacznie. Nie poszło na darmo szkolenie ideologiczne, tak często niedoceniane wśród pracowników naukowych.

W czasie szkolenia ideologicznego ze strony kolegów padały nieraz uwagi, że ostatecznie nie ma się nad czym rozwodzić, bo dialektyka to rzecz zdrowego rozsądku. Czyż trzeba udowadniać, że istnieje w przyrodzie powiązanie wszechrzeczy? Że w badaniu trzeba ogarniać możliwie wszechstronnie całość problemu? To są sprawy jasne i zrozumiałe, a jednak przeciwko nim najczęściej grzeszyli naukowcy-sadownicy. Nie jest łatwo założyć dobre doświadczenie w zakresie np. uprawy sadów. Przez kilka lat trzeba się do niego przygotowywać, produkować materiał nasadzeniowy i stosować odpowiednie przedplony. Naukowiec zapominał często w tej sytuacji, że dialektyka jest rzeczą zdrowego rozsądku i zakładał doświadczenie fragmentaryczne, przyczynkowe, z takiego materiału, jaki miał pod ręką. Sporo takich doświadczeń powstało w latach 1946 — 1950. Można powiedzieć — to wina złych doświadczalników, ludzi nieodpowiednich do pracy naukowej.

Taki sąd byłby jednak niesłuszny. Teraz ci sami ludzie nie są już tak niecierpliwi, nie popełniają takich błędów. Pod wpływem studiów nad dialektyką ich sposób myślenia stał się bardziej krytyczny. To jest moim zdaniem najważniejszy powód, dla którego nasze doświadczalnictwo sadownicze, ześrodkowane głównie w Instytucie Sadownictwa, rozwija się dobrze i w ciągu kilku zaledwie lat swego istnienia może pochwalić się znacznymi osiągnięciami.

Przygotowywać do kon

(Dokończenie ze str. 1)

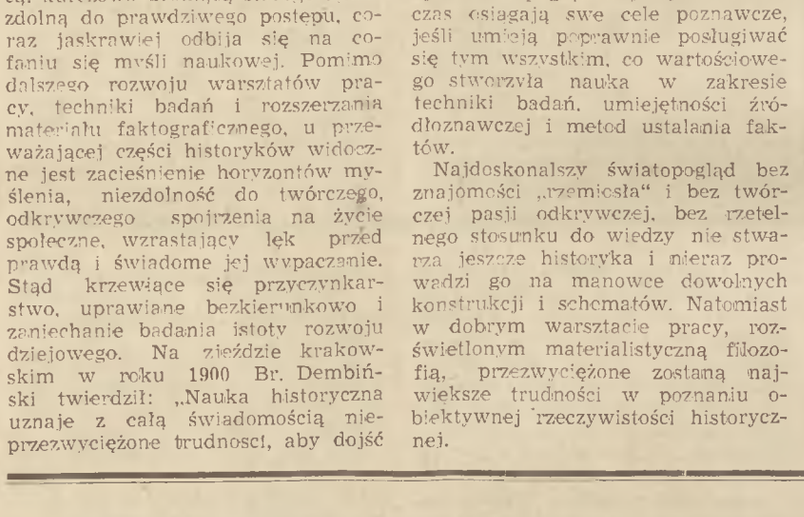

Najmłodszą uczelnią w kraju jest szczecińska Wyższa Szkoła Rolnicza. Na zdjęciu: studenci I roku tej uczelni podczas ćwiczeń.
(Foto: S. Cieślak)

Ankiety, indywidualne korespondencje, rejonowe narady (POM, PGR, Zarządy Rolnictwa), szersze konferencje o określonych zagadnieniach z praktyki rolniczej, dyskusje nad kwestiami stawianymi przez absolwentów — to tylko nieliczne sposoby, dzięki którym możemy gruntowniej poznać potrzeby naszej praktyki rolniczej. Możliwości nasze w tym zakresie są niewyczerpalne i na pewno przyniosą duży pożytek, gdyż **konkretnie powiedzą nam kim powinien być nasz absolwent, jak należy go kształcić i wychowywać, aby uczynić go agronomem - działaczem, zootechnikiem-działaczem itd.**

Nie chodzi tu oczywiście o jakieś oficjalne i trochę półrodzinne zjazdy absolwentów z „łezką wspomnień", ale o jak najbardziej roboczą i twórczą wymianę myśli między kierownikami produkcji rolniczej i kierownictwem instytucji kształcącej kadry dla tego rolnictwa. Na spotkaniach takich powinny się rodzić decyzje o kierunku prac badawczych poszczególnych zakładów uczelni, powinna być dokonywana krytyka pracy dydaktycznej katedry.

Nie bójmy się tego, że absolwenci zgłoszą poprawki do programów szkolnych, że mogą nam powiedzieć: „pańskie wykłady, panie profesorze, są abstrakcją. Niech pan przyjdzie do mnie na kilka dni, a zobaczy pan życie. Niech pan mówi studentom o tym prawdziwym życiu, a nie o prawdach pisanych w podręczniku 60 lat temu". Będą to mówili przedstawiciele praktyki będącej głównym kryterium wartości naszej pracy, a więc takie życzliwe słowa krytyki mogą tylko przynieść nam pożytek.

Nie bójmy się tego, że dawni studenci staną przed nami poniekąd jako nasi egzaminatorzy. Będą się nas pytać nie tylko np. o to, na czym polega wyższość kwadratowo-gniazdowego sadzenia ziemniaków, ale także o to, jak należy postępować z ludźmi, z konkretnie istniejącymi chłopami, z ich nawykami, przyzwyczajeniami itd., by jak najszybciej tę postępową formę uprawy zastosować w skali masowej. Trzeba nam będzie uczyć ich nie tylko zdobywczego stosunku do przyrody, ale także i do ludzi — do konkretnych ludzi z PGR, spółdzielni produkcyjnych i z gromad jeszcze nie uspółdzielczonych. Początkowo będzie to dla nas zadanie prawie ponad siły, ale w miarę poznawania problematyki konkretnego rolnictwa i wsi nasze wskazówki i rady będą przyjmowane z coraz większym uznaniem i szacunkiem.

Jeśli w naradach takich będą uczestniczyć wszyscy pracownicy szkoły, to po naradzie wspólnie powinni wyprowadzić z niej wnioski — nie prywatne, osobiste, jednostkowe, ale **wnioski zespołu, instytucji o postawie naszej kadry rolniczej i o sytuacji w rolnictwie.** Rzecz jasna, że nie chodzi tu o narady jednorazowe, ale o akcję trwałą, dającą materiał do porównań, eksperymentów, wniosków.

Trudność w sprecyzowaniu profilu absolwentów wynika jednak nie tylko z braku znajomości wyników ich pracy. Znacznie większą trudność widzę w tym, że **pracownicy naukowi nie mogą znać tych wyników, bo na ogół nie znają całej złożonej problematyki dzisiejszego PGR, POM, spółdzielni produkcyjnej itd.**

Chodzi o to, abyśmy wiedzieli np. dlaczego psują się maszyny rolnicze, dlaczego ciągle jesteśmy poniżej planowej średniej sztuk bydła na 100 ha, dlaczego w PGR-ach ciągle istnieje duża płynność kadr, dlaczego w Olsztyńskiem bardzo opornie poprawia się struktura upraw itp.?

Na postawione pytania już dziś, sądzę, znalazłbym odpowiedź u wielu pracowników naukowych szkół rolniczych. Jestem jednak przekonany, że w większości wypadków będą to domniemania — nam zaś potrzebna jest bardzo precyzyjna znajomość tych problemów i spraw.

Pewien profesor jednej z WSR w dyskusji nad potrzebami wykrywania rezerw w naszym dzisiejszym rolnictwie mówił, że chyba nie warto tego robić, a przynajmniej nie warto tego robić w jego

Z życia NASZYCH UCZELNI

Artystyczne zespoły agitacyjne

Zespoły agitacyjne wrocławskiej WSE pracowały przez pewien czas od przypadku do przypadku. Powodem tego było słabe zainteresowanie ich działalnością ze strony ZMP i ZSP. Dopiero w okresie przedwyborczym do rad narodowych — nastąpiła zmiana.

Na III roku wydziału przemysłu kierownikiem zespołu został kol. JERZY LISTWAN. Dzięki jego

energii i pomocy organizacji ZMP-owskiej zespół w krótkim czasie „uaktywnił się", przygotował program i wystąpił przed wyborcami. Bardzo udany był występ w świetlicy szpitala wojskowego. Zeszli się tu licznie chorzy i mieszkańcy dzielnicy. Na program imprezy złożyły się wiersze satyryczne w wykonaniu kol. EDWARDY GRZEŚ i piosenki ludowe, które odśpiewał 22-osobowy chór. O tym, że występ się udał, świadczyła wypowiedź przewodniczącego Komitetu Frontu Narodowego ob. MYŚLIBORSKIEGO, który wyraził chęć utrzymania stałej łączności z zespołem.

Drugi zespół liczy 30 osób. Powstał na III roku sekcji ekonomiki. Studenci dyskutują obecnie nad tym, czy ze względu na małą ilość kolegów w pierwszym zespole — nie byłoby celowe połączenie obu zespołów.

MARIAN SOSIŃSKI
WSE — Wrocław

Klub młodych literatów

Z inicjatywy koła naukowego historii literatury polskiej oraz KU ZSP przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Stalinogrodzie — powstał klub młodych literatów.

Inauguracyjne zebranie tego klubu odbyło się 10.XII. ub. r. Przybyli na nie przedstawiciele władz uczelni i sekcji młodych przy Związku Literatów Polskich.

Na uroczystości tej koledzy z I, II i III roku polonistyki odczytali swoje utwory, po czym odbyła się ożywiona dyskusja.

Przypuszczamy, że w miarę dalszych naszych spotkań i pracy w klubie — rozwinie się twórczość literacka, która obejmie może większy ogół młodzieży studenckiej.

MARIA PAWLIK
WSP — Stalinogród

Wystawa plenerowa

W lokalu PWSSP w Łodzi otwarta została wystawa prac plenerowych studentów.

Wystawa wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród społeczeństwa łódzkiego. Bardzo to nas — młodych artystów — cieszy. Czujemy się temu społeczeństwu potrzebni.

A teraz rzecz najważniejsza: co sądzą o wystawie oglądający? Zajrzyjmy do książki uwag. Są tam pochwały takie na przykład jak: „Z całego serca najmilszym i najmłodszym artystom życzę powodzenia", a także uwagi krytyczne, z których bije szczerość i życzliwość.

Nie można przejść obojętnie obok tych uwag. W poszczególnych grupach studenckich rozgorzały dyskusje nad dalszym pogłębianiem umiejętności malarskich.

RYSZARD KUSTRZYŃSKI
PWSSP — Łódź

Metoda proseminaryjna

W bieżącym roku akademickim katedra ekonomii politycznej przy WSE w Krakowie przeszła do prowadzenia ćwiczeń metodą proseminaryjną. Metoda ta polega na tym, że student opracowuje referat na określony temat, a inni koledzy przygotowują się do dyskusji. Dyskusją kieruje prowadzący ćwiczenia. Metoda ta jest lepsza od metody „odpytywania", ponieważ wymaga twórczego studiowania.

Uważam, że byłoby słuszne wprowadzenie jej i na innych uczelniach.

EUGENIUSZ KĘDZIORA
WSE — Kraków

DRWALE czy przywódcy młodzieży

W Szczecinie odnosi się wrażenie, że na określenie człowieka nazywanego w całym kraju chuliganem, istnieje drugi, równoznaczny synonim — student. Byłem świadkiem awantury w tramwaju linii „7" udającym się na Pogodno, gdzie mieści się WSE. Mimo że, jak się później okazało, awanturujący się młodzieńcy nie mieli nic wspólnego z wyższymi uczelniami — w tramwaju rozlegały się głosy pasażerów — cóż się dziwić, studenci!...

✠

Pod wpływem polecenia wydanego przez Zarząd Wojewódzki ZMP — na WSE postanowiono zastosować ostre cięcie. W dn. 21.10. ub. r. po zabawie promocyjnej urządzonej przez Studium Wojskowe, w korytarzu uczelni ukazała się „Błyskawica" wydana przez ZU ZMP, na której w ostry sposób rozprawiono się z 18 studentami uczelni. „Błyskawica" ozdobiona była zdjęciami i karykaturami „oskarżonych". Jednocześnie ZU wysłał odpowiedni list do Rektoratu, Dziekanatów, Kierowników Katedr itd.

Przeczytajmy w tym liście co zarzuca się delikwentom: „Pijaństwo, nożownictwo, zwyrodniałość ludzka, chuligaństwo w najgorszym tego słowa znaczeniu (!) oto cechy absolwentów jak... — (tu następują nazwiska) oraz studentów... — (tu znów nazwiska i lata studiów)".

Była to pierwsza tego rodzaju „Błyskawica" na WSE nic więc dziwnego, że wywarła ogromne wrażenie.

✠

Chłopak o nazwisku Mickoś i niezwykłym imieniu — Ewaryst jest studentem II roku wydziału transportu WSE. Ojciec jego jest działaczem Związku Nauczycielstwa Polskiego w woj. kieleckim.

Ewaryst — to przeciętny student. Wyróżnia go tylko „smykałka" do pisania. Był kierownikiem „Radiobłyskawicy" w osiedlu studenckim. Przez swoje cięte audycje zyskał sobie uznanie kolegów, no i wielu wrogów spośród nierobów, bumelantów i organizacyjnych kacyków. Sam, jak mówią, w ubiegłym roku „podpadł" w Studium Wojskowym, powiedzmy otwarcie Mickoś kilka razy dał dowód, że z dyscypliną wojskową jest trochę „na bakier"...

Chłopak, mimo wysokiego wzrostu, jest wątły i chorowity, od dłuższego już czasu nęka go cukrzyca.

W czasie gdy na WSE odbywała się sławetna zabawa, Mickoś leżał w szpitalu. Był w ciężkiej sytuacji finansowej. Napisał do władz uczelni podanie o przyznanie mu zapomogi. Jakież było zdziwienie i oburzenie Ewarysta gdy koledzy z Osiedla zakomunikowali mu telefonicznie, iż jest jednym z chuliganów, których nazwiska i fotografie umieszczono na „Błyskawicy".

Jednocześnie dowiedział się, że tego samego dnia Rada Mieszkańców Osiedla podała przez radio komunikat, który mówił, że „został zwolniony dyscyplinarnie dotychczasowy kierownik „Radiobłyskawicy" kol. Mickoś Ewaryst za chuligaństwo i złą sylwetkę moralną"...

Jeszcze nie zdążył ochłonąć po tym ogromnym i absolutnie bezpodstawnym uderzeniu, gdy otrzymał pisemko z Dziekanatu następującej treści: — „W odpowiedzi na podanie obywatela z dn. 20. 10. br. w sprawie udzielenia zapomogi — Dziekanat Wydziału Transportu Drogowego uprzejmie zawiadamia, iż przeciwko obywatelowi toczy się postępowanie dyscyplinarne z powodu zamieszania w awanturze na zabawie. Do tego czasu nie może być pozytywnej odpowiedzi".

Ewaryst, mimo protestów lekarzy i pielęgniarek, przedwcześnie opuścił szpital. Po przybyciu na uczelnię dowiedział się o jeszcze jednym zarzucie — cytuję za „Błyskawicą": „...W zeszłym roku potrafił uderzyć w twarz swego przełożonego..."

Oburzony był nie tylko Ewaryst. Zaskoczona i oburzona była cała jego grupa i wielu, wielu mieszkańców Osiedla, którzy znali przecież Mickosia jako spokojnego kolegę i jako autora odważnych audycji. Pierwszy zarzut — o awanturę na zabawie — wyssano z palca, przecież Mickoś w tym czasie leżał w szpitalu. Drugi zarzut — o uderzenie przełożonego ze Studium Wojskowego dotyczył nie Mickosia ale Wróbla, który dawno już został usunięty z uczelni.

Na żądanie Mickosia kierownik Studium Wojskowego sprostował ten fakt, przyznając, że zaszła pomyłka.

Jednak o wiele trudniej było z odwołaniem wszystkich fałszywych zarzutów. Rozpoczęły się wędrówki Mickosia od ZU do komisji dyscyplinarnej, od komisji dyscyplinarnej do Rady Mieszkańców. Wreszcie Komisja Dyscyplinarna rozpatrzyła sprawę i stwierdziła bezpodstawność opublikowanych oskarżeń.

29.XI. ub.r. — ponad miesiąc po całej historii — odbyło się zebranie koła ZMP, na którym Mickoś poprosił kolegów o wyjaśnienie tej sprawy. Okazało się, że przed wywieszeniem „Błyskawicy" ZU wcale nie kontaktował się z Zarządem Koła czy organizatorem grupy. Zabierało głos wielu członków Koła i towarzyszy partyjnych. Postanowiono zawiadomić Zarząd Wojewódzki i Główny ZMP o krzywdzie wyrządzonej Mickosiowi i ukarać winnych fałszywego doniesienia. Jednocześnie uchwalono, by Ewaryst z powrotem objął kierownictwo „Radiobłyskawicy". Sprawa została pozornie załatwiona, a jednak...

Dotychczas nie powiedziano jasno, kto był autorem tej kompromitującej historii. „Błyskawicę" zatwierdził i członek egzekutywy — tow. Sierakowski i sekretarz POP — tow. Keim i Zarząd Uczelniany ZMP.

Można by się ostatecznie zgodzić z wyjaśnieniem — przykra pomyłka — gdyby chodziło tylko o jeden zarzut i jednego człowieka, ale podobnie pokrzywdzono trzech innych studentów: Gaertiga, Łogwinowicza i Pałęckiego.

Co gorsze, sprawa Krzysztofa Gaertiga, absolwenta WSE, nie jest dotychczas wyjaśniona, mimo że wszyscy zgadzają się, iż zarzuty przeciwko niemu są niesłuszne. Sprawa ciągnie się już trzeci miesiąc...

A zresztą, o ile nawet komisja dyscyplinarna wyjaśni ostatecznie sprawę Gaertiga i ZU odwoła zarzuty przeciwko Mickosiowi i innym niesłusznie oskarżonym, czy przez to zwróci im wiele długich dni, a może i nocy, które ci ludzie przeżyli z poczuciem wielkiej krzywdy?

Nie zaprzeczamy, że zdecydowane zajęcie stanowiska wobec studentów-chuliganów — tej plagi Szczecina — jest bezwzględnie słuszne i uważamy, że walką z tym zjawiskiem winno się zająć także całe społeczeństwo.

Tylko, że nie wolno nam skrzywdzić niewinnego człowieka. Któryś z członków egzekutywy partyjnej WSE w rozmowie ze mną stwierdził, że gdzie drwa rąbią — tam wióry lecą...

Mickoś nie zakończywszy leczenia, pod wpływem niesłusznego oskarżenia, opuścił szpital, by szukać sprawiedliwości. Stary, porządny aktywista, Gaertig, rozpłakał się, gdy przyszedł do egzekutywy wyjaśnić swoją sprawę; Łogwinowicz w sposób ironiczny i lekceważący wyraża się nie tylko o autorach „Błyskawicy" — stracił zaufanie do aktywistów ZMP.

Mamy zresztą podstawy przypuszczać, że w związku z tym wydarzeniem — w podobny jak Łogwinowicz sposób zareagowało wielu studentów WSE.

Nic już nie poradzimy — fakt miał miejsce, ale błędem ZU ZMP jest, że dotychczas w równie zdecydowany sposób nie odwołał niesłusznych oskarżeń, że nie złożyli samokrytyki ci, którzy redagowali „Błyskawicę" i nie ukarani zostali autorzy niesłusznych zarzutów.

Niech te wypadki i ich konsekwencje będą przestrogą nie tylko dla szczecińskiej WSE.

O sprawach ludzkich nie wolno decydować lekkomyślnie — człowiek nie jest martwym przedmiotem.

TADEUSZ JASZCZYK

W KRÓLESTWIE •SCHEMATU i ETYKIETKI•

(Dokończenie ze str. 1)

Dowiedziałem się później, że film oglądali nie wszyscy, a książkę znała znikoma ilość studentów. Zarząd Koła ZMP wyznaczył termin dyskusji. Jeszcze jeden obowiązek, od którego jeśli potrafił — wykręcił się student sianem. A na dyskusję przyszedł: obecność będzie sprawdzana...

Przypomniały mi się szkolne lekcje literatury.

✠

Student wstępuje na uczelnię najczęściej bez nawyku czytania. Rozumiem przez to brak pasji czytelniczej, chęci szukania najpiękniejszych przeżyć w literaturze. Człowiek nie rodzi się z tym nawykiem — nabywa go w domu, w szkole. Ale wiadomo, że nie w każdym domu książka jest chlebem. Zadanie to winna spełniać szkoła i — często nie spełnia.

Na uczelni propagatorem książki jest głównie ZMP. I można powiedzieć z ręką na sercu, że z zadania tego Związek Młodzieży Polskiej nie wywiązuje się. Organizacja nasza traktuje literaturę piękną jako jeszcze jeden typ broszury agitacyjnej, która ma dać czytelnikowi światopogląd marksistowski, garść wiadomości o walce klasowej, tradycjach rewolucyjnych i budownictwie socjalistycznym. Pod tym kątem dobiera się pozycje literackie i narzuca szeregowemu członkowi ZMP — jako obowiązek, przeczytanie i wydobycie właśnie tych zagadnień. Pod tym kątem odbywają się dyskusje.

Dyskutuje się o „Pamiątce z Celulozy". Dostrzega się w Szczęsnym ogólny proces dojrzewania świadomości proletariatu. Dostrzega się sojusz robotniczo-chłopski. Podkreśla się wymowę klasową dzieła. I to wszystko. I — wychodzi jaskrawy schemat, wykastrowany twór, w którym nie ma już wielkiego piękna języka, bogatej i przepojonej ludzkimi uczuciami treści. Nie ma prawdziwego życia.

Nie twierdzę, że tak się dzieje zawsze. Ale dzieje się zbyt często. Dyskusja, którą wyżej przytoczyłem, jest niestety typowa na naszych uczelniach. Na dzieło literackie patrzy się przez wąską szczelinę i innym też każe się przez nią patrzeć.

Każda książka ma z góry przypiętą etykietkę. Etykietka zawiera to wszystko, co czytelnik powinien wiedzieć i sądzić o danej książce. Po cóż więc zastanawiać się nad „Pamiątką z Celulozy" jeśli można przeczytać o niej etykietkę? Po cóż czytać „Odwilż" Erenburga, jeśli opinia uznała tę książkę za złą (patrz: etykietka) i nie ma sensu doszukiwać się w niej dobrego? Po cóż myśleć nad książką, po cóż w ogóle czytać? Wystarczy przejrzeć etykietkę i zabrać głos w zaplanowanej przez koło dyskusji...

✠

Każda książka jest dla mnie przeżyciem. Czasem przeżyciem nieprzyjemnym — gdy powieść, czy wiersz są kiepskie. Ale, kiedy czytam „Burzę" Erenburga, towarzyszę Sergiuszowi w jego walce, jego cierpienia są cierpieniami i dla mnie, gdy ma dokonać wyboru i ja wybieram. Chwilami mam do niego żal — dlaczego nie postąpił stanowczo, nie ożenił się z Mado? A w „Dziewiątej Fali" pusto mi i smutno — brak Sergiusza. Mam pretensję do Erenburga — dlaczego pozwolił Sergiuszowi zginąć? Czasem zdobywam się na świętokradztwo — ożywiam bohatera, pozwalam mu spotkać Mado na ulicach Moskwy. Gdy zbliżają się ostatnie strony, czytam wolniej — chcę przedłużyć chwilę rozstania.

Dobra książka nie jest dla mnie fikcją. Znajduję w niej życie, którego nie mogę być biernym obserwatorem. Jestem uczestnikiem.

Mam słabą pamięć i często ulatuje z niej treść przeczytanej książki. Ale zostaje uczucie, jakieś piękne przeżycie, myśl. Sięgam po nie, gdy jest mi ciężko, kiedy szukam rozwiązania męczącego mnie problemu. Konfrontuję tę myśl, uczucie z rzeczywistością — i to mi pomaga. Często Sergiusz przychodził mi z pomocą w powzięciu ważnej decyzji.

Trudno by mi było wyobrazić sobie życie bez książki. Ale — słowo honoru! — nie zawdzięczam tego ani szkole, w której „dukałem" o „Starym i Nowym", ani uczelni, gdzie musiałem być uczestnikiem, podobnych do przytoczonej, dyskusji. Nie szkoła i nie uczelnia wszczepiły we mnie pasję poznawania życia przez książkę, szukania w niej piękna, pomocy, rady.

I nie uwierzę, aby komukolwiek uczelnia wszczepiła tę miłość.

✠

Zdarza się czasem, że Władek Starkiewicz — obecnie student WSE we Wrocławiu — ma wolny wieczór i chciałby go przyjemnie spędzić. Idzie wtedy do kina — byle nie na polski film! — do teatru, lub po prostu na spacer, powłóczyć się po ulicach. Czasami nudzi się. Ale nawet wówczas Władek Starkiewicz nie sięgnie po książkę. Bo któż w wolny wieczór myśli o obowiązkach?

Byłem kiedyś świadkiem takiej scenki: w parku przy ulicy Filtrowej, na ławeczce siedziało trzech studentów wydziału mechanicznego Politechniki Warszawskiej. Jesienny, ciepły wieczór, godzina może dziewiąta. Studenci wypili około litra wódki, a potem zaczepiali zakochanych.

Może to brzmi trochę śmiesznie, ale jestem przekonany, że gdyby mieli w domu jakąś porywającą ich książkę — nie piliby w parku wódki i zakochani mogliby się całować w spokoju.

Nasi aktywiści zetempowscy znają na pamięć frazesik, że „książka wychowuje". Ale o tym nie pamiętają, że książka, aby wychowywać, musi trafić do serca czytelnika. Książkę trzeba czytać odważnie i samodzielnie, nad książką trzeba myśleć i odczuć ją. Nie trzeba czytelnikowi podsuwać etykietki.

Ba, ale jak zaszczepić człowiekowi miłość do książki, jak tchnąć w niego tę pasję, nałóg?

Nie widzę na to ogólnej recepty. Jedno jest faktem — student musi czytać samodzielnie, musi mieć własną recenzję z przeczytanej książki. Podsuwając mu lekturę, należy odrzucić wszelki szablon w jej doborze, nie trzymać się kurczowo okrzyczanych i rozsławionych pozycji literackich.

Człowiek chce konfrontacji — niech konfrontuje, porówna faszystowskiego pisarza Celine'a z naszym Aragonem. Nie ma obawy, by Celine wyszedł z tej konfrontacji zwycięsko. A przy takiej konfrontacji student najmocniej odczuje to, co odrzuca jako frazes uczestnicząc w wulgarnej, schematycznej dyskusji. Bo prawdę najlepiej przyswaja człowiek, gdy może skonfrontować ją z frazesem. Niech więc czyta — Dostojewskiego i Tołstoja, Browninga i Londona, Celine'a i Aragona.

Wydaje mi się, że dyskusje literackie urządzać można i trzeba. Ale niech jej tematem będzie na przykład: „Czy można szanować Michała Snitkę z „Godziny smutku" Konwickiego? Niech w takiej dyskusji weźmie udział Konwicki. Albo: „Czy słuszny był postępek pasażerów w noweli Brandysa „Pan z laską"? Są to tematy, które bardziej chwytają człowieka i mocniej angażują w dyskusji.

W czasie mego pobytu w Związku Radzieckim zetknąłem się z bardzo ciekawą i atrakcyjną formą dyskusji literackiej. Był to sąd nad „Rudinem" Turgieniewa. Wybraliśmy spośród siebie przewodniczącego sądu, sędziów, prokuratora, obrońcę. Bronił się sam Rudin. Wszyscy byliśmy świadkami. Po dwugodzinnych debatach ogłosiliśmy wyrok potępiający bohatera powieści. Wyszedłem z tej dyskusji pełen satysfakcji i zadowolenia.

Lubimy czytać książki ciekawe, o frapującej treści, która nie pozwala oderwać się od niej ani na chwilę. Niech więc odpowiedni dobór literatury spełnia nasze wymagania. Jest to szczególnie ważne w domach studenckich, gdzie najczęściej nie ma ani doboru, ani w ogóle książek — czyż nie warto by było założyć tam niewielkie biblioteki z książkami odpowiadającymi naszym wymogom — ciekawymi, mądrymi książkami? Czyż nie warto by było w tak wielkich ośrodkach studenckich, jakimi są domy studenckie, urządzać interesujących dyskusji, sądów literackich, puszczając w obieg jakąś ciekawą pozycję z literatury? Albo, na przykład, zorganizować przy uczelni stały Klub Dyskusyjny, do którego będą przychodzić pisarze aby spotkać się ze swymi czytelnikami.

To pod adresem naszej organizacji zetempowskiej i ZSP.

✠

Książka — to przyjaciel, o którego nie jest się zazdrosnym. My wszyscy — mówię tu w imieniu miłośników książki — chcielibyśmy, aby nasze radości i smutki, nasze przeżycia i doznania literackie stały się udziałem każdego. Sprawia nam radość, gdy mówiąc z kolegą o książce, którą uwielbiamy, widzimy na jego twarzy podziw dla niej.

Chciałbym, aby Władek Starkiewicz i Rysiek Czarnuszewicz — ten, z którym jechałem kolejką — sięgnęli do książki. Stalibyśmy się wtedy bliżsi sobie.

Książka — to przyjaciel, który odsłaniając swe piękno, przepajając szlachetnością uczuć i myśli, łączy ludzi, uczy ich i wychowuje, pomaga im żyć. Aby znaleźć w niej takiego przyjaciela należy wyzwolić ją ze schematu, obedrzeć z etykietki źle pojętego narzędzia agitacji. Nie narzucać jej przyjaźni jako obowiązku. Wtedy będzie przyjacielem.

A. MINKOWSKI

kretnego zawodu

dziedzinie wiedzy, bo zrobił to już wyjątkowo dobrze kilkadziesiąt lat temu prof. Malarski. Jeśli tak na sprawę rezerw patrzy profesor, to znaczy, że nie rozumie on naszej dzisiejszej praktyki rolniczej, nie rozumie dialektyki rozwoju.

Inny profesor w tej samej dyskusji powiada, że owszem, w akcji wykrywania rezerw można użyć studentów, mogą oni zebrać cenne materiały, ale trzeba im bardzo ostrożnie organizować kontakty z chłopami, bo, jak wiadomo, chłopi mogą „zastrzelić" ich jakimś bardzo kłopotliwym politycznie pytaniem, negatywną postawą wobec jakichś określonych zarządzeń ludowego państwa itd. i wtedy student może wyprowadzić o wsi niewłaściwe wnioski, może się „przerazić"... **Taki profesor, moim zdaniem, nie tylko nie ma pojęcia o tym, jak wygląda konkretna sytuacja na wsi, ale także i o tym, co to znaczy kształcić kadry dla dzisiejszego, konkretnego rolnictwa.** W jego przekonaniu najlepiej czyni się to pod kloszem i w probówce, a w każdym bądź razie z dala od dzisiejszej wsi, z dala od „niebezpieczeństwa", a po mojemu — od życia.

Długo mógłbym przytaczać dowody świadczące o braku znajomości konkretnej problematyki naszego współczesnego rolnictwa przez pracowników naukowych WSR. Jeśli ją nawet ktoś zna, to przeważnie od strony przyrodniczej, od strony jego specjalności — od strony łąk, bydła, trzody, upraw gleby itd. Nie zna jej natomiast od strony ludzi, **od strony organizacji, od strony walki o to, by przedstawione przez niego na wykładzie lub ćwiczeniach prawdy wcielić w życie, zastosować w praktyce, upowszechnić.** Oto główny brak w praktycznej znajomości rolnictwa, brak, który, moim zdaniem, w największym stopniu utrudnia odpowiednie kształcenie kadr.

Sądzę, że wielu ludzi zgodzi się z moją tezą, ale natychmiast postawi pytanie — jak w naszych warunkach zdobyć znajomość współczesnej praktyki rolniczej? Nie ma na to recepty. Służą temu celowi najróżniejsze środki. Można poznawać stosunki w rolnictwie poprzez prasę, konferencje, zjazdy, wycieczki, własne prace naukowe, kontrolę praktyk, korespondencję z rolnikami, uczestnictwo w tzw. akcjach i w tysiącu innych okazji i sytuacji. Rzecz nie leży w tym, jaką przyjąć formę ale w tym, żeby **chcieć poznawać naszą praktykę rolniczą,** żeby stykając się z nią umieć dojrzeć nie tylko dany element specjalizacyjny rolnictwa, ale jego głęboki związek z innymi dziedzinami rolnictwa, jego społeczne następstwa.

A oto przykład: prof. Krotow w WSR Olsztyn ogląda w czasie wyjazdu terenowego do spółdzielni produkcyjnej w Oterkach pasące się na pastwisku stado bydła. U niektórych sztuk stwierdza gruźlicę, a ponadto stwierdza, że sztuki te są przyjęte przez spółdzielnię z ówczesnej Centrali Mięsnej do opasu. Prof. Krotow nie poprzestał na tym, żeby odizolować bydło zdrowe od chorego i że Centrala Mięsna wycofała te sztuki z opasu, ale kwestię tę postawił na posiedzeniu Komisji Rolnictwa i Leśnictwa WRN jako bezduszny i szkodliwy styl pracy Centrali. I nie zaprzestał interwencji aż doprowadził do starannej kontroli bydła idącego na opas do chłopów. Jest to postawa profesora, który walczy o poprawienie konkretnej sytuacji, który jest hodowcą, a zarazem działaczem. Takiego też stosunku do zawodowych obowiązków uczy prof. Krotow swoich słuchaczy.

Chodzi więc o to, by za sprawy, które poznajemy w praktyce rolniczej, brać **osobistą odpowiedzialność,** by starać się wyjaśniać nie tylko np. problem upraw na zboczach, nie tylko wyjaśniać wartość siewu poplonów ozimych, ale bić się o to, by praktyka tego siewu upowszechniała się, by zdobywała coraz to nowych zwolenników.

Marks mówił, że filozofia powinna nie tylko objaśniać świat, ale i zmieniać go. Dotyczy to oczywiście nie tylko filozofów ale i rolników, a dziś, w okresie walki o socjalizm, w okresie nadmiernych dysproporcji między rozwojem przemysłu i rolnictwa i obiektywnej konieczności podnoszenia poziomu życiowego naszego społeczeństwa — dotyczy to rolników tym bardziej. A zatem **jeśli chcemy dać dobre kadry rolnictwu, to trzeba dobrze poznać to rolnictwo, trzeba się zbliżyć do niego — do konkretnego rolnictwa Polski Ludowej, a nie mówić i wychowywać studentów do rolnictwa nieokreślonego, do rolnictwa w ogóle.**

Prof. dr DYZMA GAŁAJ

POPROSTU

U bułgarskich przyjaciół

Redakcja nasza otrzymała z Bułgarii serię zdjęć obrazujących życie bułgarskich studentów. Publikujemy niektóre z nich.

Oto gmach Uniwersytetu w Sofii — jednej z dwudziestu wyższych uczelni kraju. Dziesięć lat temu stał tu tylko stary, odrapany budynek rektoratu. Dziś widoczny na zdjęciu gmach jest tylko jednym z całego kompleksu zabudowań.

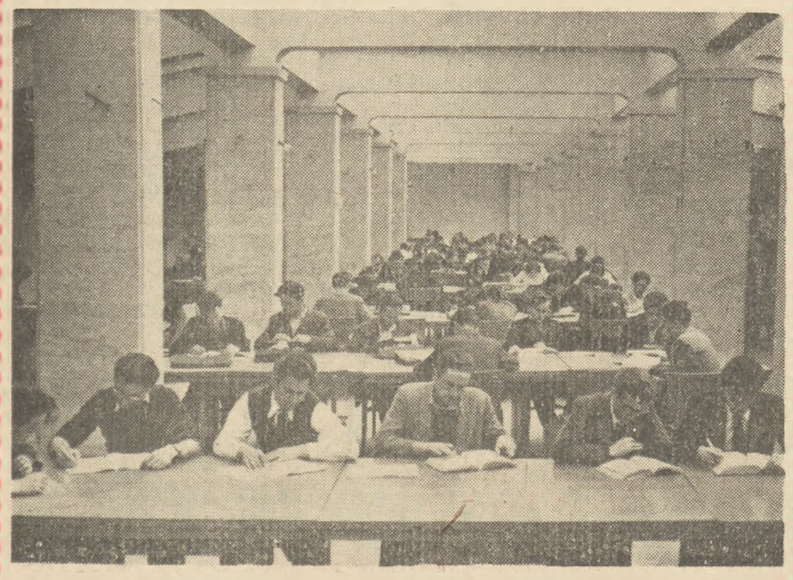

Tylko w przeciągu ostatnich lat w sofijskim uniwersytecie oddano do użytku studentów 25 audytoriów, 147 gabinetów naukowych, 29 bibliotek oraz 355 najróżniejszych pomieszczeń. A jak widać na zdjęciu czytelnia posiada piękny, estetycznie urządzony lokal.

Sale ćwiczeń i laboratoria wyposażone są w coraz bardziej nowoczesne urządzenia. Laborant wydziału elektryczno-przemysłowego Państwowego Instytutu Politechnicznego im. Stalina — Dimitr Nikołow — zapoznaje kolegę z nowozainstalowanym aparatem.

Pokój Nr 3 Domu Akademickiego w Sofii zajmują — Gala Kazaczkowa, Todorka Kristewa i Elena Pawłowa. Jak widać czują się tu doskonale

foto: BTA — Bułgaria

Już po oddaniu do druku numeru noworocznego redakcja otrzymała jako jedną z nagród w konkursie „KTO ZGADNIE"

Rower męski

Wobec tego pierwszą nagrodę w konkursie „Kto zgadnie" stanowi rower.

Bierzcie udział w Konkursie! Termin nadsyłania odpowiedzi mija 22 stycznia br.

Na marginesie krajowej narady aktywu studenckiego

PLON OBRAD

W dniu 28 grudnia ub. roku odbyła się w Warszawie krajowa narada aktywu studenckiego poświęcona pracy kulturalno-wychowawczej na wyższych uczelniach. W naradzie wzięli również udział: Minister Szkolnictwa Wyższego tow. Adam Rapacki, przedstawiciel wydziału propagandy KC PZPR, tow. Cieślikowska, przedstawiciele władz uczelni oraz poszczególnych resortów Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

Zarówno referat wstępny przewodniczącego Rady Naczelnej ZSP, tow. Majchrzaka, jak wypowiedzi w dyskusji pozwoliły ustalić stan faktyczny, osiągnięcia i braki pracy kulturalno - wychowawczej na naszych wyższych uczelniach oraz wykreśliły główne kierunki działania w celu podniesienia tej pracy na wyższy poziom. W toku dyskusji wyjaśniono szereg nieporozumień co do stosowanych dotychczas metod i form pracy kulturalnej, a także co do jej podstawowych treści i celów. Dzięki temu należy uznać naradę za owocną i oczekiwać, że przyniesie ona zmiany na lepsze w systemie działania uczelnianych organizacji ZMP i ZSP oraz radykalnie rozszerzy zasięg i podniesie skuteczność naszej pracy kulturalno - wychowawczej.

Rezygnując ze sprawozdawczego omówienia samej narady chcielibyśmy przekazać czytelnikom jej podstawowe zagadnienia, które ustawione po nowemu zdecydowały o wartości całodziennych obrad.

Cele pracy kulturalno-wychowawczej

sformułował w swej wypowiedzi jasno i głęboko tow. Adam Rapacki mówiąc: „Praca kulturalno-wychowawcza młodzieży szkół wyższych nie sprowadza się do organizowania samorodnej twórczości młodzieży, do organizowania udziału młodzieży w różnych imprezach artystycznych.

Przy pomocy tych form praca kulturalno - wychowawcza służy przede wszystkim wytwarzaniu między ludźmi, między młodzieżą prawdziwie kulturalnych a więc prawdziwie ludzkich stosunków. Chodzi o stosunki wzajemnego szacunku, przyjaźni, wzajemnej pomocy między ludźmi, którzy wspólnie uczą się po to, by później wspólnie przy pomocy zdobytej nauki, razem z masami pracującymi walczyć o lepsze, prawdziwie ludzkie życie dla siebie i innych...

Praca kulturalno-wychowawcza, która by nie wpływała na stosunki między ludźmi, wśród młodzieży — nie byłaby ani pracą kulturalną, ani wychowawczą.

Komu służy praca kulturalno-wychowawcza? Służy przede wszystkim samej młodzieży studenckiej. Jest pracą samej młodzieży po to, aby jej życie stało się prawdziwie ludzkie, godne człowieka, płomienne, mądre, proste, bogate.

...Cała nasza walka jest ostatecznie walką o to, aby wyzwolić się z wyzysku i ucisku, aby wyzwolić człowieka z troski o pierwsze potrzeby, o byt, żeby w ludziach rozwijały się najpiękniejsze cechy, żeby żyli między sobą w najlepszej przyjaźni i szacunku, by coraz więcej rozumieli, by człowieczeństwo zwyciężało w stosunkach między ludźmi i w stosunkach między człowiekiem a przyrodą.

Wiadomo, że takie życie trzeba twardo wywalczać. Wiadomo, że w tej walce obok nauki, kultura jest potężną bronią. By w tej walce zwyciężyć, trzeba wiedzieć i czuć o co chodzi. Obok nauki i sztuka godna tego imienia uczy nas znać i szanować człowieka, rozumieć i wierzyć w człowieka, uczy lepiej, z większym zapałem i mądrością walczyć i porywać do walki.

Bez kultury, bez rozumienia sztuki, życie, o które walczymy, byłoby kalekie, płaskie, biedne. Tak więc w walce o nowe życie, i we wzbogaceniu życia o które walczymy — sprawa kultury ma ogromne znaczenie.

Dobrze jest, że praca kulturalno-artystyczna towarzyszy pracy społecznej młodzieży, jej łączności ze wsią, z fabrykami, tak być powinno. Ale powinna ona towarzyszyć całemu życiu młodzieży: i nauce i pracy społecznej i codziennemu życiu poza szkołą, w domach akademickich, w wolnych od nauki chwilach. To powinna być praca przede wszystkim dla młodzieży, dla jej potrzeb i rozwoju tych potrzeb, dla jej rozwoju w ogóle, dla jej pracy i walki, dla jej przyjemności i radości — dla jej życia.

Jeśli tak to postawimy i młodzież to zrozumie — nie będzie przeorganizowywania, administrowania, popędzania, prowadzenia za rękę. Będzie bujna, żywa, pełna zdrowych sporów i krytyki inicjatywa samej młodzieży. Praca kulturalno-wychowawcza jest walką. Nie tylko dlatego, że służy naszej walce, ale i dlatego, że walczy z zacofaniem kulturalnym; wypaczeniami kulturalnymi; z zatruwaniem kultury przez wyziewy rozkładu świata imperialistycznego. Zacofanie kulturalne jest wynikiem wielowiekowej zależności klasowej, odcinania mas pracujących od kultury, zatruwania ich i ujarzmiania. W walce o przywrócenie niewoli burżuazyjnej wróg ucieka się także do prób zahamowania życia kulturalnego — zwłaszcza młodzieży.

Rozbudzić świadomą inicjatywę młodzieży w walce o kulturę, o przeobrażenie stosunków między ludźmi — o piękniejsze prawdziwie ludzkie życie i współżycie, przeciwko śladom i próbom ponownego narzucenia upadlającej zależności — to sprawa najważniejsza".

Głównymi torami pracy kulturalno-wychowawczej

powinny stać się — jak wykazała narada — rozpowszechnienie czytelnictwa literatury pięknej i poezji oraz bujne życie świetlicowe. Na oba te zagadnienia zbyt mało uwagi zwracały dotąd w swej działalności uczelniane organizacje młodzieżowe, nic więc dziwnego, że przytłaczająca większość dyskutantów stwierdzała w swych wypowiedziach zły stan czytelnictwa i zupełny niedowład życia świetlicowego.

Waga rozpowszechniania czytelnictwa pozornie nie budzi żadnych wątpliwości. Aktyw uczelniany jest świadomy prawdy o tym, że piękna, wartościowa książka to jeden z najważniejszych czynników podnoszenia poziomu kulturalnego studenta. Jednakże w praktycznej swej działalności, mimo pewnych wysiłków, osiąga w tej dziedzinie nikłe rezultaty. Dzieje się tak dlatego, że najczęściej nie wiadomo właściwie jak skutecznie prowadzić i organizować popularyzację czytelnictwa. I rzeczywiście nie jest to praca łatwa, trudno ją ująć w formy organizacyjne, gdyż o rozbudzeniu zamiłowania do książki decyduje w głównej mierze emocjonalny stosunek każdego pojedynczego czytelnika do podsuniętego mu dzieła literackiego. Żadne administracyjne nakazy nic tu nie wskórają.

Trzeba zatem gorliwie poszukiwać różnorakich i wciąż nowych form oddziaływania na wyobraźnię i zainteresowania młodzieży, skłaniając ją do samorzutnych poszukiwań książki i ścisłego z nią współżycia. Nie znaczy to rzecz jasna, by poniechać stosowania dotychczasowych metod pracy w tej dziedzinie jak: propaganda wizualna, konkursy czytelnicze, spotkania z autorami itp. Zwłaszcza nie należy rezygnować z dyskusji pod warunkiem jednak, że zmieni się jej oficjalny, sztywny charakter na szczerą, koleżeńską wymianę zdań, że w miejsce trudnych do zorganizowania, obliczonych na szeroką frekwencję imprez pod nazwą „dyskusji", będziemy rozniecać gorące spory o literaturze co dzień w drobnych nawet grupach studentów, na uczelni, w pokoju domu akademickiego, w stołówce, wszędzie.

Czynnikiem hamującym nasze wysiłki nad budzeniem zamiłowania do książki jest niewątpliwie brak bibliotek lub niezadowalający ich stan w domach studenckich. Jednak w wypowiedziach dyskutantów na naradzie tą bolączką nie zajmowano się zupełnie. Wywołało to nawet pewną konsternację u znajdującego się na sali dyrektora Centralnego Zarządu Bibliotek (instytucji, która w pierwszym rzędzie powołana jest do zaopatrzenia w księgozbiory naszych domów studenckich). Spodziewał się on bowiem, że posypie się nań grad zarzutów spowodowanych uzasadnionymi pretensjami o zbyt słabą aktywność reprezentowanej przez niego instytucji. Fakt, że spotkał go zawód, wymownie świadczy, iż aktyw wyższych uczelni dość formalnie rozumie swą rolę w dziedzinie krzewienia czytelnictwa.

Właściwe sprecyzowanie roli świetlicy w życiu studenckim nasuwało więcej trudności, zwłaszcza, że zagadnienie to łączy się nierozerwalnie z istnieniem obiektywnych warunków lokalowych i sprawą wyposażenia w odpowiedni sprzęt. Z wypowiedzi dyskutantów wynikało jasno, że stan przeznaczonych na świetlice pomieszczeń jest żałosny. Przeważnie nie posiadają one ani wystarczającego umeblowania ani też instrumentów, adapterów czy nawet gier świetlicowych. W rezultacie świecą pustkami i wykorzystywane są niemal wyłącznie na próby zespołów artystycznych. Kilku kolegów wspominało co prawda, że w ich środowiskach istnieją (na przykład w Krakowie) tzw. „wzorowe świetlice", pięknie wyposażone, jednak są one zamknięte na głucho w obawie, by studenci nie zniszczyli kosztownych mebli, czy dywanów. Gdzie indziej znów (np. w Częstochowie) nie dopuszcza się do używania świetlicy na codzień, gdyż istnieje pogląd, że przebywanie w niej przeszkodzi systematycznej nauce.

Tymczasem świetlica może i powinna stać się ogniskiem pracy kulturalno - wychowawczej, życia towarzyskiego młodzieży akademickiej, co więcej, może i powinna zastąpić studentowi środowisko domowe, atmosferę rodzinną. Oczywiście w tym celu jej dotychczasowy charakter musi ulec całkowitej zmianie. Już sam wygląd świetlicy powinien zachęcać do spędzania w niej wolnego czasu. Musi być tu ciepło i przytulnie, aby miało się ochotę posiedzieć i przejrzeć pisma, czy pogadać z kolegami, spotkać się z dziewczyną lub potańczyć. Takiego właśnie klubowego charakteru muszą nabrać nasze świetlice, aby zaspokoić żywotne potrzeby młodzieży. Rady Mieszkańców domów studenckich miałyby tu szerokie pole do popisu zarówno pod względem organizowania imprez rozrywkowych czy dyskusji, jak i pod względem wytwarzania przyjaznej, swobodnej atmosfery, tak niezbędnej dla odprężenia po trudach studenckiego dnia.

Czy do tego celu niezbędne są znaczne środki finansowe, wielkie pomieszczenia, kosztowne wyposażenie? Rzecz jasna — nie. Podstawowe postulaty może spełniać z całym powodzeniem nawet skromnie urządzona, gospodarskim sposobem ozdobiona świetlica. Trzeba natomiast zrobić wszystko, by w każdym domu studenckim wykryć istniejące rezerwy lokalowe i znaleźć choćby nie najbardziej reprezentacyjne pomieszczenie, w którym świetlica mogłaby rozpocząć swój żywot. Trzeba także istniejące już świetlice doprowadzić do stanu używalności. Trzeba wreszcie, przede wszystkim zapewnić im takie funkcjonowanie, takie imprezy i atmosferę, by garnęła się do nich nie tylko młodzież zamieszkała w domach studenckich.

Zespołom artystycznym

szkół wyższych poświęcimy tu znacznie mniej miejsca, jakkolwiek w naradzie ich problemy zajmowały gros wypowiedzi dyskutantów. I nic w tym dziwnego. Dotychczas uczelniane organizacje młodzieżowe za główną bazę pracy kulturalno-wychowawczej uważały właśnie organizowanie samorodnej twórczości studentów. Już samo to założenie było niesłuszne, gdyż przesłaniało w praktyce znacznie ważniejsze a zupełnie zaniedbane dziedziny. W konsekwencji zaś prowadziło do równie niesłusznej pogoni za masowością udziału w zespołach (podczas gdy powinny się one ograniczać do posiadających i pragnących rozwijać swe talenty ludzi) oraz do stosowania administracyjnych i organizacyjnych rygorów wewnątrz zespołów (podczas, gdy praca ich powinna opierać się wyłącznie na swobodnej inicjatywie ich członków).

Jeśli zespoły artystyczne naszych uczelni staną się tym czym być powinny, tj. grupami młodzieży rozmiłowanej w dobrowolnie wybranej dziedzinie sztuki, młodzieży, która według własnych potrzeb i pragnień będzie dobierała sobie repertuar oraz system prób czy produkcji, wówczas zespoły podniosą niewątpliwie poziom swej pracy, osiągnięć artystycznych, zniknie zjawisko niezdyscyplinowania i nudy, zapanuje natomiast atmosfera radosnej twórczości.

Jak organizować

pracę kulturalno-wychowawczą, aby była ona owocna w skutki, nie zniechęcała, lecz przeciwnie, rozwijała szerokie zainteresowania intelektualne, zaciekawiała książką, filmem, muzyką, prowadziła do powstawania kulturalnych nawyków. W dyskusji padały niejednokrotnie zarzuty, że organizuje się tę pracę odgórnie, że towarzyszy jej zbyt wiele przymusów administracyjnych, że rozmija się ona częstokroć z aktualnymi pragnieniami i zainteresowaniami młodzieży. Zarzuty to bardzo ciężkie, gdyż praca kulturalna — jak zresztą każda praca wychowawcza — jest dziedziną skomplikowaną, tak jak skomplikowany jest człowiek, wymaga subtelnych i głęboko przemyślanych form działania. Przede wszystkim zaś nie wolno jej narzucać z góry, ani też obarczać przymusami. Aktyw prowadzący tę pracę powinien zrozumieć, że nie można tu stosować współzależności wychowawców i wychowanków. Młodzież wychowuje się poprzez samą młodzież pobudzając jak najsilniej jej własną inicjatywę, wychodząc naprzeciw jej potrzebom i pragnieniom, doradzając jedynie i zabezpieczając możliwości realizacji tych potrzeb i pragnień. Wszelkie praktyki dyrygowania i administrowania muszą raz na zawsze zniknąć z naszej pracy kulturalno-masowej, prowadzą one bowiem do powstawania szkodliwych zjawisk nieszczerości, obłudy i zanudzania nie przynosząc natomiast żadnych pozytywnych rezultatów. Pojawiają się wówczas dwa rodzaje życia kulturalnego: tego oficjalnego, zewnętrznego, które się prowadzi z konieczności i nieoficjalnego, które nam umyka stwarzając idealną domenę działania wroga.

ZMP i ZSP wspólnie

prowadzą i odpowiadają za pracę wychowawczą wśród młodzieży akademickiej, a więc i za pracę kulturalną. Stwierdzenie to wydaje się truizmem, jednakże z szeregu głosów w dyskusji wynikało jasno, że uczelniane instancje zetempowskie wcale lub w stopniu daleko niewystarczającym zajmują się tą dziedziną pracy. Jest oczywistym nonsensem zupełne odcinanie się aktywu zetempowskiego od wszystkich spraw, które wg formalnego podziału kompetencji leżą w gestii ZSP. Dowodzi to praktycznej rezygnacji z wpływania na jedną z podstawowych dziedzin życia studenckiego. Zjawisko jest tym groźniejsze, że bardzo często instancje zetespowskie nie są w stanie objąć całokształtu szerokiego wachlarza zagadnień kulturalnych młodzieży szkół wyższych. Końcowym więc wnioskiem z referowanej tu narady będzie postulat pod adresem obu organizacji młodzieżowych uczelni, by wspólnie z największą troskliwością i wnikliwością śledziły rozwój życia kulturalnego studentów, skupiały wokół niego coraz szersze masy aktywu, wciągając do pracy również przedstawicieli grona profesorskiego, którzy wiele mogą młodzieży pomóc.

B. S.

O SKRYPTACH, PODRĘCZNIKACH WYDAWNICTWACH NAUKOWYCH

NAJNOWSZE PODRĘCZNIKI I SKRYPTY PWN

Ch. Hainchelin — **Pochodzenie religii**
B. de Spinoza — **Etyka**
W Kuraszkiewicz — **Zarys dialektologii wschodnio-słowiańskiej** z wyborem tekstów gwarowych
J. Safarewicz — **Wybrane teksty umbryjskie**
L. Moszyński — **Geografia niektórych zapożyczeń niemieckich w staropolszczyźnie**
K Kowalski — **Jaskinie Polski**
Z. Salwa — **Wychowawcza rola prawa Polski Ludowej**
S Ehrlich — **Ustrój Związku Radzieckiego**
A Vetulani — **Walka Polski w wiekach średnich o dostęp do Bałtyku**
N. Szaposznikow — **Badanie własności mechanicznych metali**
W Nowacki — **Mechanika budowli** (Układy statyczne niewyznaczalne Cz. I)
A. Potyrała — **Przykłady konstrukcyjne z budowy kadłubów okrętowych**
Z. Rudolf, M Mączyński — **Technika sanitarna**
J. Bojanowski — **Zbiór zadań ze statyki** (Ustroje statyczne wyznaczalne)
E Suworow — **Podstawy ichtiologii**
J Michejda — **Ćwiczenia z fizjologii zwierząt** (Cz. I — Przemiana materii)
J Budsławski — **Analiza mleka i przetworów mleczarskich**
E Smelana — **Metodyka nauczania fizyki w szkołach średnich**
D Saar — **Finansowanie gospodarki komunalnej**
S Libiszow, A. Cieśliczko — **Ekonomika i organizacja obrotu artykułami papierniczymi**
T. Grzebieniowski — **Składnia i stylistyka języka angielskiego**
C Grece Dabrowska — **English for science students**
E Wilman — **Syntaxe du Français moderne**
T Rubinow E. Szarlitt, H. Wolf — **Język niemiecki**

NAJNOWSZE PODRĘCZNIKI PZWL

S. Wszelaki — **Zarys kliniki chorób zakaźnych**
J. Rutkowski — **Chirurgia T. I** Wyd III
T Butklewicz — **Chirurgia przypadków nagłych T II**
L. Korzeniowski — **Zarys psychologii** (Compendium)
T. Gorzkowski — **Technika ważniejszych zabiegów w medycynie wewnętrznej**
H Mierzecki — **Dermatologia pracownicza**
I Hausmanowa, E. Herman — **Zespoły neurologiczne w chorobach gośćcowych**
L Kuczyński — **Techologia środków leczniczych**
J Muszyński — **Ziołolecznictwo i leki roślinne**
M Chmielińska — **Polska bibliografia zielarstwa** (za okres od początku XVI w. do roku 1940)

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik.
Redaguje kolegium
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul Wiejska 17/1 Telefony redaktor — 841 24 Centrala 8-32-91
Prenumerata: w urzędzie pocztowym najbliższym miejsca zamieszkania lub PPK Ruch Konto PKO nr 1 8003 — Warszawa w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny. Miesięcznie zł 1 40 kwartalnie 4 20 półrocznie — 8 40 rocznie — 16 80
Administracja: RSW Prasa III Delegatura Warszawa ul Marszałkowska 8 tel 807 11
Drukarnia: RSW Prasa Warszawa, Marszałkowska 3/5
B-6 1603